



Nikki Logan



***Zatoka
spełnionych marzeń***

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Załączam wyrazy szacunku.

Kate

Grant prychnął pogardliwie. Dobrze sobie! Niby kiedy Kate Dickson okazała jego ojcu choćby cień szacunku? Przecież to ona z bandą nawiedzonych ekologów doprowadziła do ruiny farmę Leona McMurtriego, przyczyniając się pośrednio do jego śmierci.

Oficjalnie zmarł na serce, tylko trzy osoby znały prawdę. Byli to burmistrz, najbliższy przyjaciel Leona; miejscowy lekarz; Grant, jego jedyne dziecko. To właśnie on znalazł ojca na przednim siedzeniu samochodu. Silnik chodził na jałowym biegu, w baku jeszcze było paliwo.

List Kate Dickson wciąż leżał na kuchennym blacie. Przesunął po nim wzrokiem:

Negocjacje w sprawie wytyczenia strefy buforowej... Ochrona uchatk australijskich... Ograniczenie działalności rolniczej... Niestety z żalem muszę...

Szacunek, żal... Ileż w tym fałszu! Najpierw ugadać staruszka, podstępnie wdrzeć się na jego teren, a potem tak poprowadzić sprawę, żeby konserwator przyrody narzucił ostre restrykcje, w wyniku czego właściciel straci jedną trzecią ziemi, jako że pas o długości dwudziestu ośmiu kilometrów wiodący wzdłuż wybrzeża zostanie wyłączony z użytkowania. Tak się odpłaciła za życzliwość. Podała się za naukowca, mówiła, że prowadzi badania, lecz w rzeczywistości chodziło jej o wyrobienie sobie nazwiska. A wszystko to kosztem mojego ojca, pomyślał.

Zmiał kartkę zapisaną delikatnym pismem - kto dzisiaj pisze odręczne listy? - i wymazał ze świadomości istnienie tej osoby.

Z zadumy wyrwał go dźwięk telefonu. Grant sięgnął po słuchawkę i powiedział:

- McMurtrie.

- Pan McMurtrie? - po chwili ciszy niepewnym głosem spytała jakaś kobieta.

- McMurtrie junior - uzupełnił pośpiesznie.

- Och... przepraszam. Zastałam pana ojca?

- Nie - odparł z trudem.

- Bardzo mi zależy, by skontaktować się z nim jeszcze dzisiaj. Mamy do omówienia... - Głos miała młody, była czymś zaaferowana.

To na pewno ona. W ostatniej drodze ojcu towarzyszyło mnóstwo ludzi, ale jej zabrakło. Obchodziła ją sprawa do załatwienia, nie Leon, dlatego nawet nie wiedziała o jego śmierci, choć minęło już całkiem sporo dni.

- Pani Dickson, prawda? Kate Dickson?

- Tak.

- Mój ojciec zmarł w zeszłym tygodniu.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, wreszcie po długim milczeniu powiedziała zmienionym głosem:

- Mój Boże... nie wiedziałam. Tak mi przykro.

- Mnie też... - mruknął, powstrzymując się przed inną odpowiedzią: „Wiem, że ci przykro. Bo już nie wprowadzisz w życie tych swoich kretyńskich pomysłów”.

- Jak pan sobie radzi? - spytała miękko. - Mogę jakoś pomóc?

Zaskoczyła go. Nie widziała go na oczy, a jednak wczuwała się w sytuację. To jeszcze bardziej go zdenerwowało.

- Owszem, może pani pomóc, nie pokazując się tu więcej. - Dał jej chwilę, by przetrawiła te słowa, po czym postawił kropkę nad i: - Pani i pani ludzie nie jesteście tu mile widziani.

- Panie McMurtrie... - Urwała gwałtownie wyraźnie zszokowana.

- Mój ojciec dał się wam omamić i wpuścił na swój teren, lecz to się skończyło.

Tak jak wszelka dyskusja na ten temat.

- Mieliśmy umowę...

- Jeśli nie została sporządzona na piśmie i jeśli jeden z punktów nie głosi, że obowiązuje po wsze czasy, to nie ma o czym mówić.

- Panie McMurtrie! - zaczęła ostrzej.

- Pani Dickson! - odparł tym samym tonem.

- Proszę wybaczyć. Zdenerwowanie to zły doradca. - Zamilkła na moment. - Panie McMurtrie, musi pan wiedzieć, że to nie jest prywatne porozumienie między mną a pana zmarłym ojcem. W projekt badawczy zaangażowały się władze samorządowe, wyłożyły na to pieniądze. Niezależnie od tragicznych okoliczności, nie może pan ot tak, zerwać umowy.

- To się jeszcze okaże! - Z hukiem cisnął słuchawkę i po raz pierwszy od tygodnia poczuł się lepiej.

Trochę się rozładował, miał kogo się czepiać. Kogoś innego niż ojca, którego stracił. I z którym od dziewiętnastu lat nie utrzymywał kontaktu.

Odszedł od niego, gdy tylko poczuł się do tego gotowy. A teraz ojciec nie żyje. Jednak może coś dla niego zrobić. Spełnić jego marzenie. Utrzymać farmę.

Ale nie, nie zostanie farmerem. Co będzie mógł, to poprawi i uporządkuje, i jak najszybciej znajdzie kupca, który sprawi, że Tulloquay rozkwitnie. Ojciec nie tego by chciał, lecz Grant nigdy nie spełniał jego oczekiwań. To, że umarł, nic nie zmieniło w tym względzie.

Kate Dickson weszła na ganek cała sprężona przed kolejną batalią. Cały rok przekonywała Leona McMurtriego, żeby wpuścił ją na farmę i wraz z zespołem pozwolił zrealizować trzyletni program badawczy. Prosiła, wyjaśniała, błagała, aż wreszcie Leo się ugiął. I oto gdy pozostał ostatni, decydujący rok badań, musi zaczynać od nowa. W dodatku czekają ją negocjacje z prawnikiem.

W internecie znalazła informacje o jedynym synu Leona. Grant McMurtrie był znakomitym specjalistą od umów i kontraktów. A po rozmowie telefonicznej wiedziała, że nadal oplakuje ojca i absolutnie nie jest skory do współpracy. Miała tylko nadzieję, że zmięknie, gdy nawiążą osobisty kontakt.

Zapukała w świeżo pomalowane drewniane drzwi i otarła dłonie w żakiet. Rzadko występowała w oficjalnych strojach, lecz okoliczności zmusiły ją do tego. Klasyczna wąska spódnica i dopasowany żakiet nadawały się idealnie.

Gdy nikt nie otworzył, Kate rozejrzała się niespokojnie. Może powinna uprzedzić telefonicznie o wizycie? Jednak w domu ktoś był, bo dobiegało dudnienie heavymetalowej muzyki. Ponownie zapukała, pomrukując:

- No otwórz wreszcie... - I nic. Ale gdy nacisnęła klamkę, drzwi ustąpiły. - Halo! - zawołała, przekrzykując głośną muzykę. - Panie McMurtrie! - Klnąc pod nosem, ruszyła korytarzem tam, skąd dobiegała muzyka. Poczula zapach farby. Świeżo pomalowane pokoje, meble okryte wesołymi kwiecistymi prześcieradłami. Dziwne. Nigdy by nie posadziła Leona o takie upodobania. Był szorstki i posepny. Nawet gdy już się dogadali, z trudem dochodziła z nim do ładu. Był skrajnie zamknięty w sobie, znała go tylko powierzchownie. - Halo!

- Co do cholery?!

Wystraszył ją ten krzyk... i Kate zderzyła się z czymś masywnym. Poleciała do tyłu, rozpaczliwie próbując nie upaść. Farba chlusnęła na jej żakiet. Złapała wiaderko, z drugiej strony ujrzała męskie dłonie. Przykucnęli, próbując utrzymać pojemnik w pionie. Na szczęście więcej farby się nie wylało.

Dostrzegła zadbane paznokcie, a zaraz potem niebywale zielone oczy, które wpatrywały się w nią intensywnie spod ściągniętych brwi. Odwróciła wzrok. Farba ściekała z ubrania, rozpryskiwała się na drewnianej podłodze.

- Och...

- Proszę się nie ruszać! - nakazał Grant McMurtrie, odstawiając wiaderko. Kilka dobrych minut zbierał szmatkami farbę z podłogi, co nie zdało się na wiele, bo z eleganckiego stroju Kate wciąż spływały strużki. - Niech pani zdejmie ten cholerny żakiet.

Powstrzymała ostrą ripostę na ten jego ton, ale cóż, miał rację. Ściągnęła żakiet i cisnęła go na piętrzącą się w rogu stertę pochłapanych farbą szmat.

I ona, i on popatrzyli na poplamioną spódnicę.

- Ona zostaje - oświadczyła stanowczo.

Prawie się uśmiechnął, po czym zaczął ścierać farbę ze spódnicy.

Stała potulnie skrępowana i zażenowana. Znów czuła się jak tamta dziewczynka sprzed lat, kiedy to inni za nią decydowali, a ona tylko wypełniała polecenia. Wreszcie McMurtrie wyprostował się i zmierzył ją spojrzeniem. Owalna twarz, krótkie, płowe

włosy, dwudniowy zarost. Świetnie mu w tej koszuli khaki rozpiętej na piersi, pomyślała Kate. Opalona skóra ocieniona jasnymi włosami, złoty pierścionek na rzemyku...

Zacisnął usta, widząc jej spojrzenie.

Odgarnęła włosy, poprawiła okulary. Musi zachowywać się profesjonalnie. Wyprostowała się i wyciągnęła rękę.

Za późno zauważyła krople spadające na dłoń. Czyli włosy też ma pochłapane farbą. Tak samo jak okulary, stąd te plamki przed oczami. Opuściła rękę. Pięknie ci idzie, Kate, pomyślała zgryźliwie. Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Musi podejść do sprawy pragmatycznie.

- Panie McMurtrie...

- Nie wie pani, że powinno się pukać?

Zwężyla oczy. Może wcale nie oplakuje ojca, tylko jest gburem. Jaki ojciec, taki syn. Wprawdzie polubiła starego Leona, lecz początki znajomości były bardzo trudne, a później tylko trochę z górki.

- Nie wie pan, że od hałasu mogą pęknąć bębenki? - zawołała, przekrzykując piekielny heavy metal.

- Ach tak... - Przyciszył muzykę i zapiął koszulę.

- Dziękuję. - Pierwsze ucieszyło Kate, drugie przyjęła z żalem. - Zawsze pan słucha rocka na cały regulator?

- To lepsze niż picie.

Zmarszczyła brwi. To nie były jej klimaty.

- Kate Dickson. Jak sądzę, mam przyjemność z Grantem McMurtriem?

- Z tak precyzyjną i wnikliwą naukową dedukcją zapewne jest pani najlepsza w swej dziedzinie.

Zignorowała tę jawnie sarkastyczną uwagę, stwierdziła natomiast:

- Nie oddzwonił pan do mnie.

- Nie.

- Ani nie odpowiedział na mejle.

- Nie.

- Dlatego pofatygowałam się osobiście.

- Trudno nie zauważyć. - Przesunął wzrokiem po jej pochłapanej farbą bluzce. - Przykro mi z powodu zmarnowanego kostiumu.

- Mała strata. - Wzruszyła ramionami. - Nie był w moim stylu.

- To czemu pani go włożyła?

- Okoliczności tego wymagały.

- A co by pani wołała? - Przypatrywał się jej taksująco.

- Piankę do nurkowania.

- No tak. Jasne.

Odetchnęła. Wreszcie doszli do najważniejszego tematu. Zaraz wiele się wyjaśni.

- Panie McMurtrie, muszę dokończyć program badawczy.

- W takim razie niech pani poszuka innej plaży.

- Od początku pracujemy tutaj, nie mogę tak po prostu przenieść się w inne miejsce. Kolonia uchatk, którą obserwujemy, od lat powraca do tej zatoczki.

- Wiem. Wychowałem się tutaj.

- Widział je pan tam, gdy był pan dzieckiem? - spytała z ogniem w oczach.

- Owszem. Nie było dnia, żebym do nich nie chodził.

- Naprawdę? - patrzyła na niego żarliwie.

- Niech pani nie robi sobie nadziei - ostudził jej zapał.

- To jeszcze nie znaczy, że mam dla pani jakieś informacje. Ani że się zgadzam.

Nic z tego.

- Dlaczego?

- Nie muszę się tłumaczyć. Właśnie to jest piękne: moja ziemia, moje prawa.

Postanowiła wyciągnąć asa z rękawa. Jedyne go asa.

- Jeszcze nie. - Widziała, jak spochmurniał, lecz ciągnęła spokojnym, wyważonym tonem: - To jeszcze nie jest pana własność.

- Tak? - Przymrużył oczy.

- Powiedziano mi, że minie co najmniej sześć do ośmiu tygodni, zanim uprawnieni się testament. Do tego czasu właścicielem ziemi nadal jest Leo. I nasza umowa jest ważna. - Modliła się w duchu, żeby naprawdę tak było. By zdobyć tę informację, musiała się poświęcić i pójść na kolację z obmierzłym prawnikiem. - Ważna, powtarzam.

Widząc gniewną minę McMurtriego, obronnym gestem skrzyżowała ramiona.

- Myśli pani, że nie mam odpowiednich kontaktów, żeby to przyspieszyć? Jestem prawnikiem, pani Dickson. A może raczej doktor Dickson?

- Doktor Dickson wciąż się kojarzy z moim ojcem, dlatego wolę mniej oficjalnie, panna Dickson albo po prostu Kate. - Odetchnęła głęboko, wracając do meritum. - Powiedziano mi, że bez nielegalnych machinacji to zajmie co najmniej sześć tygodni.

- Nie posuwam się do przekrętów, panno Dickson, zawsze postępuję zgodnie z literą prawa - odparł ostro. - Czy przez sześć tygodni coś się zmieni?

- Trudno przewidzieć. Być może nic. A może przekona się pan, że nasza praca ma sens, jest ważna.

- Dla kogo?

- Dla nauki. Dla zrozumienia ekologii oceanów.

- Dla pani.

- Owszem, dla mnie. To mój dorobek.

- Dorobek naukowy... - Uśmiechnął się leciutko. - Pracuje pani pewnie nie więcej niż pięć lat. Nie za wcześnie na łączenie tego pojęcia z panną Dickson?

- To zarzut, że nie jestem nobliwą staruszką? - odparła kąśliwie. - Pan też jeszcze nie jest wiekowy. - Na oko oszacowała jego wiek, coś ją podkusiło, by dodać kilka lat i powiedziała: - Blisko magicznej czterdziestki, jak sędzę.

- Trzydzieści pięć.

A już tak wiele osiągnął, pomyślała z podziwem, lecz powiedziała co innego:

- Czyli magiczna trzydziestka została za plecami. - W zadumie pokiwała głową. - Ale gdy był pan młodszy, nie było nic, na czym panu tak bardzo zależało, że był pan gotów poświęcić wszystko?

Posłał jej ostre spojrzenie. Kiedy był młody, marzył tylko o tym, by uciec z farmy i po swojemu ułożyć sobie życie. Musiało minąć dziesięć lat, nim zdał sobie sprawę, że wciąż nie znalazł własnej drogi. I przez kolejnych dziewięć zastanawiał się, co dalej zrobić ze swoim życiem.

Znak od losu, na który czekał, nadszedł. Nocny telefon od zaniepokojonego burmistrza miasteczka Castleridge postawił go na nogi. Ojciec nie przyszedł na zebranie, nie

podnosił słuchawki, dom był zamknięty. Trzygodzinną jazdę Grant zrobił w dwie godziny i wraz z burmistrzem wyłamali drzwi.

Kate ruszyła do wyjścia. Jaskrawe australijskie słońce przeświecało przez cienką kremową bluzkę, podkreślając szczupłą, zgrabną sylwetkę. Grant musiał przyznać, że jest bardzo atrakcyjną, a mówiąc wprost, piękną kobietą.

Tyle że Kate Dickson w żadnym razie nie wykorzystuje swoich atutów. Ubiera się i zachowuje absolutnie profesjonalnie. To on w tej rozchełstanej koszuli pokazuje więcej. Z drugiej strony, wcale jej tu nie zapraszał.

- Niech pani nie liczy na to, że wykażę się empatią, przyjmę pani punkt widzenia, zacznę powtarzać pani opinie o ekosystemie. - Już same słowa nie były przyjazne, a do tego ten ton... - Pani praca zniszczyła mojego ojca.

- Mój Boże... - Była wyraźnie oszołomiona tym oskarżeniem. Trwało chwilę, nim powiedziała cicho: - Panie McMurtrie, to nieprawda.

- Owszem, prawda. - Po jej reakcji wiedział, że celnie trafił, choć i tak wyraził się oględnie, nie powiedział: „Odebrała mu pani życie”.

- Panie McMurtrie - odezwała się nieswoim głosem - z pana ojcem nie było łatwo się dogadać, lecz darzyłam go wielkim szacunkiem. Trochę to trwało, ale doszliśmy do porozumienia. Dlatego sugerowanie, że moja praca... praca mojego zespołu... przyczyniła się do jego śmierci... - Z trudem przełknęła ślinę. - Pana ojciec kochał tę ziemię i wszystko, co na niej było. Również uchatki. Traktował je jak współmieszkańców, czuł się za nie odpowiedzialny. Dawały mu radość, nie smutek.

- Lirycznie to brzmi, ale może porozmawiamy o konkretach? - Był prawnikiem, wiedział, jak uderzyć.

Z satysfakcją stwierdził, że Kate jeszcze bardziej spochmurniała.

- Miesiąc temu ojciec został oficjalnie powiadomiony, że sześćdziesiąt kilometrów kwadratowych jego gruntu najpewniej otrzyma status terenów chronionych i zostanie objętych nadzorem konserwatora przyrody. Chodzi o szeroki na dwa kilometry pas wzdłuż linii brzegowej. Nazwali go strefą buforową. To jedna trzecia jego ziemi.

- Tak. - Zwiesiła ramiona. - Wiem, że to jest rozważane - dodała ostrożnie. - Wyniki naszych badań...

- Czyli nie jest dla pani zaskoczeniem, że być może... - Urwał, bo musiał uszanować domniemanie niewinności. Rzucenie komuś w twarz, że przyczynił się do samobójstwa innej osoby, to nie przelewki, a Grant nie miał niezbitą pewności. Jeszcze jej nie miał. - Na pewno przeżył ogromny szok.

- Jeśli działo się tak wbrew jego woli, z pewnością nie było to dla niego łatwe. - Powoli skinęła głową. - Jednak współpracował z nami.

Co go do tego skłoniło? Grant już się tego nie dowie. Jednak na mocy testamentu, który kilka tygodni przed śmiercią Leo złożył u burmistrza, to syn został spadkobiercą. Powierzył Grantowi farmę, w ogóle nie wspominając o ochronie uchatki czy udziale w badaniach. I tylko to się liczyło, żadne tam ustne zobowiązania czy honorowe umowy. W świecie Granta najważniejsze były dokumenty, a reszta to tylko dodatek.

- Absolutnie wykluczone, żeby mój ojciec z własnej woli oddał zielonym jedną trzecią swojej ziemi! - stwierdził ostrym tonem. - Ta farma była jego miłością.

- Leo do ostatnich dni wszystko robił z pełnym zaangażowaniem, żadnych półśrodków, nigdy połowicznie - powiedziała cicho, umykając wzrokiem.

Taki zawsze był, pomyślał Grant... i nagle go olśniło. Między ojcem a Kate Dickson istniała silna więź. Nie w powszechnym sensie tego słowa, bo Leo był trudny w kontakcie, jednak szok, z jakim przyjęła wiadomość o jego śmierci, i szczerzy smutek, który dopiero teraz dostrzegł, jednoznacznie o tym świadczyły. Tłumiony od lat gniew osłabł, na chwilę opuścił go żal. Ojciec, człowiek już stary, zjednął sobie młodą Kate Dickson, która od dwóch lat niemal codziennie zjawiała się na jego farmie.

Jednak Grant wiedział, że nie wolno mu poddać się emocjom. Nie ulegnie urokowi atrakcyjnej panny, przed czym nie obronił się ojciec.

Spojrzał na nią. Była drobna i bardzo atrakcyjna. Ale co z tego? Musi się jej pozbyć, to wszystko.

- Kiedy testament się uprawomocni, pani zespół musi znaleźć nowy teren do badań. Niech pani popyta innych farmerów, którzy mają dostęp do morza.

- Myśli pan, że tego nie zrobiłam, zamiast miesiącami błagać pana ojca? To jedyne odpowiednie miejsce. Na północy są klify, trudno się tam dostać.

- Musicie pogłówkować. Gdy farma przejdzie na mnie, nie wpuszczę żadnych badaczy. Uczciwie ostrzegam o tym już teraz.

Pod słońce nie widział jej twarzy, lecz wyczuł płonący wzrok.

- Ostrzeżenie, ale czy uczciwe? - rzuciła ze wzgardą. - Pana ojciec miał słabe strony, lecz był człowiekiem prawym.

Odwróciła się i z godnością minęła werandę, kierując się do wysłużonej terenówki. Taki samochód dla pięknej kobiety? Wsiadła, skromnie wsuwając do środka długie nogi, i cicho zamknęła drzwi.

Znów go oświeciło. Już wiedział, dlaczego po roku nagabywań ojciec uległ tej pannie. Nie dlatego, że wykorzystwała do tego boską figurę i śliczną buzię... lecz dlatego, że tego nie zrobiła.

Kate Dickson. Intrygujące połączenie bystrego umysłu, urody i godności. No i kocha te strony. Nic dziwnego, że zawojowała ojca.

Bo właśnie za to kochał moją matkę, pomyślał Grant.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przebrała się w samochodzie. Po spotkaniu z synem Leona musiała zobaczyć uchatki. Kto wie, jak długo jeszcze będzie mogła tu przychodzić? Na samą myśl, że wkrótce będzie musiała się z nimi pożegnać, poczuła ucisk w sercu. Te zwierzęta stały się treścią jej życia, jedynym oparciem.

Arktyczny wiatr znad Oceanu Indyjskiego uderzył ją w twarz. Pogoda na południowym wybrzeżu Australii nie rozpieszcza. W obcisłej piance Kate przypominała fokę. To przez to podobieństwo rekiny czasem atakowały surferów. Uchatki też dały się nabrać, gdy pierwszy raz podeszła do ich kolonii.

Oczywiście nie cały czas paradowała w piance. Zwykle pracowała w wygodnym i ciepłym kombinezonie, choć niespecjalnie w nim wyglądała.

Pasące się na wypalanej ziemi owce przyglądały się jej leniwie. Widok Kate nie robił na nich wrażenia, podobnie jak na jej współpracownikach. Po sześć godzin dziennie babrali się w wymiocinach i odchodach uchatki, zbierając je w celu wykonania analiz. Brudni i przesiąknięci smrodem, stanowili zżyty, lecz bezpłciowy zespół. Nie pamiętała nawet, kiedy ostatni raz czuła się jak kobieta.

A dwadzieścia minut temu? - pomyślała.

McMurtrie był na nią wściekły, lecz i tak ożyła przy nim w ten specyficzny sposób. Gdy przesunął po niej bezczelnym spojrzeniem, od razu krew w niej zawrzała. Cieszyła się, że była w spódnicy i bluzce, nieważne, że pochłapana farbą. Gdyby zobaczył ją w stroju roboczym...

Zaczęła schodzić ścieżką po kamienistym urwisku. Ostre krawędzie kończyły się piaszczystej plaży, o którą rozbijały się fale. Ścieżka musiała powstać przed laty i była bardzo wąska, jakby służyła drobnej kobiecie... lub chłopcu.

Pomyślała o Grancie. Gdy był mały, z pewnością tędy chodził. Zatoczka osłonięta wysokim klifem, wiatr uderzający o skały, morskie stworzenia... wymarzone miejsce dla spragnionego przygód dzieciaka. Mogła mu tylko zazdrościć.

Kilkanaście uchatki podniosło głowy, obserwując zbliżającą się postać. Były nieufne, ale przywykły do obecności ludzi. Po chwili większość zwierząt powróciła do le-

niwego wygrzewania się w słońcu. Kate z uśmiechem popatrzyła na figlujące na brzegu maluchy, potem na trzymające się w grupkach młode samce. Ich ojcowie, choć większość czasu spędzali osobno, teraz towarzyszyli samicom.

Życie rodzinne. Jeśli maluchom się poszczęści, jakiś czas jeszcze pobędą z rodziną. Dłużej niż ona... To było tak dawno, że powinna pogodzić się z rzeczywistością, jednak wcale nie było łatwiej.

Cieszyła się, że uchatki tolerują ludzi. Dzięki temu mogli co miesiąc ważyć młode. Niektóre maluchy same wchodziły do worka, traktując to jako zabawę. Widok czekoladowych oczu i porośniętych brązowym futerkiem pyszczków wyglądających z worka był jednym z najprzyjemniejszych momentów w pracy.

Nic dziwnego, że budziły się w niej macierzyńskie uczucia. Jednak jej życiem była praca, o dzieciach powinna zapomnieć. Dzieci się kocha... i można je stracić.

- Cześć, Dorset - wyszeptała do potężnej samicy rozłożonej na płaskiej skale. Jedna z pięciu, której ostatnio założyli urządzenie rejestrujące, czy uchatka jest na lądzie, czy też pod wodą i na jakiej głębokości. Analiza tych informacji dawała bezcenną wiedzę.

Niestety skład pokarmu mogli ustalić jedynie przez analizę odchodów.

Dorset prychnęła i przelotnie popatrzyła na baraszkującego w wodzie syna. Uchatki nie były oddanymi matkami. W sytuacji zagrożenia często zostawiały młode na pastwę losu. Wprawdzie to ułatwiało badania, jednak Kate uważała się nad bezbronnymi maluchami.

Wiedziała, co się wtedy czuje.

Gdy była młodą dziewczyną, poprzysięgła sobie, że nigdy nie stanie się zależna od czyichś zachcianek, nie pozwoli, żeby ktoś za nią decydował.

Zachowanie samic wynikało z wielopokoleniowych doświadczeń. Śmierć płodnej samicy była większym zagrożeniem dla gatunku niż strata bezbronnego malucha.

Malec popatrzył na Kate i czmychnął do wody. Ogarnęło ją pełne smutku wzruszenie. Jej badania wykazują, że wbrew powszechnemu przeświadczeniu uchatki nie żywią się rybami, na które jest popyt. Oby tylko zdołała przekonać o tym rybaków i odpowiednie władze, wykazać, że obecność tych zwierząt nie zagraża wartemu miliony rybołówstwu.

Następnym razem przyjdzie tu z Grantem. Jeśli zaczniesz gadać jak prawnik, odwoła się do jego wspomnień. Skoro obserwował uchatki jako dziecko, może odżyją w nim tamte chwile. I da się przekonać. Nawet gdyby miała posunąć się do błagań.

W ten projekt są zaangażowane trzy fundusze, chodzi też o jej zawodową reputację. Zmarnować lata pracy, bo ktoś jest źle nastawiony do ekologii? Instytucje, które przydzieliły granty, oczekują od doktor Dickson konkretnych wyników. Musi je dostarczyć, niezależnie od wszelkich przeszkód.

A jedną z nich jest przystojny, bystry prawnik.

- To jakie są te dobre wieści? - Grant dopił kawę, patrząc na burmistrza.

- Dwanaście tygodni na uprawomocnienie testamentu to bardzo krótki termin, o czym wiesz - z uśmiechem odparł Alan Sefton. - Należą mi się podziękowania.

Podziękowania za to, pomyślał zgryźliwie, że dopiero za trzy miesiące przegonię Kate Dickson i jej kumpli z mojej ziemi?

- Dziękuję, że zgodziłeś się zostać wykonawcą testamentu taty.

- Zdawałem sobie sprawę, że ty i on... - Uśmiechnął się smutno, ale gdy Grant gestem zachęcił go do mówienia, dodał: - Wiedziałeś, że zapisał ci farmę?

- Nie miałem pojęcia.

- Cóż, jesteś jego synem, jedynym potomkiem. Czas tego nie zmienił. Ani odległość.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby zapisał farmę zielonym. Wiesz, żeby zrobić mi na złość.

- Leo nie był taki. - Alan spochmurniał. - Wojowniczy, jak najbardziej, no i miał ten irytujący zwyczaj, że nieraz słyszał tylko to, co mu pasowało. Jednak nie tracił czasu na złośliwości.

- Tak... - Grant dobrą chwilę przetrwał te słowa. - Dwadzieścia lat... Pewnie się zmienił przez ten czas.

- Albo ty się zmieniłeś.

Zaległa cisza. W kawiarni było pusto, z kuchni dobiegało brzęczenie radia.

- Jak sobie radzisz, synu? - spytał wreszcie Alan.

Od dawna nikt się tak do niego nie zwracał. Od śmierci mamy. Ojciec mówił mu po imieniu, nauczyciele po nazwisku, współpracownicy zachowywali oficjalny dystans. Dziwnie się poczuł. Alan pytał szczerze, należała mu się taka sama odpowiedź.

- Jakoś... jakoś daję radę.

- Odnalazłeś się w domu?

- Tak. - Zaskakujące, lecz właśnie tak było. - Minęło tyle lat, odkąd nie mieszkaliśmy razem. Ściany nie zachowały jego ducha.

- Rozumiem...

- Za to został zapach papierosów. Musiałem pomalować ściany, żeby się go pozbyć. - Widział, że po twarzy burmistrza przebiegł cień. - Co jeszcze chciałeś mi powiedzieć?

- Nie tyle powiedzieć, co poprosić.

- Śmiało - zachęcił Grant.

- Zdaję sobie sprawę, że po tylu latach niewiele cię łączy z miasteczkiem.

- Cóż, nie mogę zaprzeczyć. - A jednak po śmierci ojca ma pełny zamrażalnik domowych obiadów przyniesionych przez mieszkańców, a na pogrzeb przyszły tłumy. Lokalne więzi nadal są silne. - Lecz nie jest to takie jednoznaczne. Tutaj się wychowałem, znam wielu ludzi.

- Hm... świetnie. To mi ułatwi sprawę.

- No mów - ponaglił go Grant.

- Chodzi o ten zespół badaczy...

- No tak! - Prychnął lekceważąco. - Jeśli bandę pseudonaukowców liczących uchatki nazywasz badaczami...

- Musisz coś wiedzieć. Leo długo się wzdrygał, nim ostatecznie zdecydował się na współpracę.

- Nie dziwię się.

- Przez rok się opierał, zanim zgodził się...

- Poznałem Kate Dickson. Domyślam się, co go przekonało.

- Kate przyszła do ciebie? - zdumiał się Alan.

- W zeszłym tygodniu.

- I co o niej myślisz?

Zbyt piękna na uczoną. Zbyt młoda, żeby mieć podkrążone oczy. Powiedział jednak co innego:

- Wydała mi się bardzo zdeterminowana.

- Bo taka jest. Nic jej nie odciągnie od pracy, nawet smutek.

Grant fuknął gniewnie. Miał nadzieję, że znajdzie w Alanie sprzymierzeńca, a okazuje się, że on też jest pod urokiem Kate.

- Ma się czym smucić, bo nie wyrażę zgody na dalsze liczenie uchatk.

- Ach tak. Zastanawiałem się, co wybierzesz.

- Nie mam wyboru. Strefa buforowa to jedna trzecia całej ziemi, a także utrata dostępu do morza. Nie mam żadnego interesu, żeby pomagać ludziom, którzy chcieli wyrwać ojcu farmę.

- Aha... - Alan spojrzał na niego uważnie. - Teraz zależy ci na farmie?

Przeżył szok, słysząc to pytanie, lecz był zbyt wytrawnym graczem, by okazać słabość, niepewność. Ostro spojrzał na Alana, który szybko odwrócił wzrok i powiedział cicho:

- Przepraszam. To była niepotrzebna uwaga. Powiem ci tylko jedno: nie miałeś kontaktu z ojcem, lecz ja się z nim przyjaźniłem. Słuchałem jego opowieści. I jego marzeń. - Niespełnionych marzeń o przekazaniu Tulloquay synowi, który będzie kontynuował jego dzieło. Niestety okazało się, że syn jest ulepiony z innej gliny.

- Marzenia nie zawsze się spełniają.

- To prawda, jednak twój ojciec dokonał wyboru, podejmując współpracę z naukowcami.

- Jasne. - Grant prychnął ironicznie. - Nikt by go do niczego nie zmusił...

- Nie zamierzam przeproszać za swoje działania. - Alan zarumienił się lekko.

- Co takiego?

- Twój ojciec niełatwo ustępował, lecz powoli poddawał się presji.

- Jesteś po stronie ekologów? - Grant pochylił się ku niemu.

- Jestem po stronie miasta i mieszkańców. Z tym programem wiążą się duże pieniądze. A jeśli zdobędziemy większą wiedzę na temat naszego morskiego ekosystemu i wspomozemy rozwój turystyki, to wszyscy na tym zyskamy.

- Tylko nie ja. Stracę jedną trzecią ziemi.

- Owszem, nie będzie można na niej hodować zwierząt, jednak otworzą się możliwości dla ekoturystyki.

- O czym ty mówisz! - zareagował ostro Grant. Leo McMurtrie bezlitośnie szydził z farmerów, którzy zapalili się do takich pomysłów. - Ojciec prędzej by umarł, nim wpuściłby turystę na swój teren.

- Wiem, przecież wiem - ze smutkiem powiedział Alan. - Ale zastanów się dobrze. Czy Leo dał się komuś na coś namówić?

Grant w młodości wychodził ze skóry, żeby go do czegoś przekonać, jednak zawsze daremnie. Może nie potrafił?

- Coś mi świta - powiedział cicho.

- Tak?

- Znasz Kate Dickson, prawda?

- Owszem. Spotkałem ją kilka razy. Urocza panna. Może trochę zbyt skoncentrowana na pracy...

- To znaczy?

- Och... - Alan machnął ręką. - Wydaje mi się, że całkiem oddała się nauce i nie ma prywatnego życia. Rodziny, dzieci.

- Oby panna Dickson wzięła sobie do serca twoją troskę - skomentował zgryźliwie. - Wtedy porzuci naukę i programy badawcze, i przestanie być moim utrapieniem.

- Jest oddaną pracy profesjonalistką - rzekł Alan. - Leo znał się na ludziach. Zobaczył w niej coś, co... Może ujął go jej stosunek do uchatek. Będzie walczyć o nie do upadłego.

- Jesteś szefem jej fanklubu? Alan, ona nie jest po naszej stronie.

- Nie chodzi o to, kto jest po której stronie.

- Chodzi, jeśli los twojej farmy jest zagrożony. - Alan tylko popatrzył na niego znacząco, nie musiał nic mówić. Grant westchnął, po czym wyznał: - Dziewiętnaście lat

temu wyjechałem z Tulloquay, bo wiedziałem, że nie nadaję się na farmera. Ojciec nie mógł się z tym pogodzić i dawał mi to odczuć. Nie zatrzymał mnie, bo zawiodłem jego oczekiwania. Zapisał mi farmę z intencją, żebym sprzedał ją za najlepszą cenę komuś, kto odpowiednio się nią zajmie. Nigdy nie uwierzę, że chciał oddać jedną trzecią ziemi zwariowanym ekologom. - Gdyby tego chciał, ująłby to w testamencie, pomyślał Grant. Jednak znalazł się w sytuacji bez wyjścia, dlatego odebrał sobie życie. Przecież już tylko czekał na urzędową decyzję. Czy to nie wystarczy?

- Dobrze, w takim razie ja, burmistrz, zwracam się do ciebie jako do przyszłego właściciela Tulloquay. Otóż zgodnie z tym, co nakazuje mi pełniony urząd, popieram ten projekt badawczy, który może zaprocentować inwestycjami na skalę regionalną, rozwojem współpracy naukowej i ekoturystyki. W imieniu miasta proszę również o twoje wsparcie.

- Niezła przemowa. Długo ją przygotowywałeś?

- Kilka godzin dwa lata temu - z uśmiechem odparł Alan - gdy po raz pierwszy rozmawiałem o tym z twoim ojcem

Grant powoli wypuścił powietrze. Czy Kate Dickson i jej uchatki owinęły sobie wokół palca całe miasto? Burmistrz, podobnie jak ojciec, nie należał do ludzi podatnych na wpływy. Jest zręcznym biznesmenem i silnym liderem. Co nie znaczy, że nie ma swych priorytetów.

- Wezmę to pod rozwagę. - Grant wstał.

Burmistrz rzucił na stół kilka banknotów, też się podniósł i klepnął Granta po plecach.

- O nic więcej nie mógłbym prosić.

- Z pewnością mógłbyś. - I pewnie to zrobisz, dodał w myślach.

ROZDZIAŁ TRZECI

Grant stał na progu ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Wygląda jak wściekły grecki bożek, pomyślała. Był bardziej zakryty niż poprzednio, więc łatwiej będzie mogła skupić się na meritum. Przyglądał się Kate z nieskrywaną wrogością. Zły jak diabli... i bardzo przystojny.

- Naprawdę potrzebuję zaproszenia, żeby zobaczyć moją zatokę?

- Och... - Zatkaną ją na moment. - Nie zatokę, a naszą pracę. Pomyślałam, że kiedy już ją poznasz...

- To wpadnę w zachwyty? - Uśmiechnął się cierpko. - Nie znasz mnie, więc nie mam pretensji o te naiwne rojenia.

- Nie zaszedłbyś tak daleko, gdybyś nie znał jakże ważnej zasady, że poznanie wroga to podstawa do osiągnięcia porozumienia.

- Nie widzę podstaw do jakichkolwiek negocjacji. - Choć nie przeczę, że jesteśmy wrogami, dodał w duchu. - Musiałabyś mieć coś w zanadru, co rzucisz na stół. A stół jest pusty.

- Coś jednak mam. Dwanaście tygodni.

- Informacje szybko się tu roznoszą. - Oczy mu pociemniały.

- Dla mojego zespołu czas ma kluczowe znaczenie. Oczywiście, że się dowiadywałam.

- Mogę zamknąć te drzwi i otworzyć je dopiero za trzy miesiące - zadrwił, wiedząc przy tym, że nawet jeśli jeszcze go nie ma, to znajdzie sposób, by ją załatwić.

- Mnie to jakoś nie śmieszy. Nie mogę wszystkiego zostawić i odejść. To moja praca, bardzo dla mnie ważna. - Serce biło jej mocno. Poświęciła lata na ten projekt, dzięki niemu zaczyna odzyskiwać równowagę i wiarę w siebie.

Grant przez długą chwilę przyglądał się jej badawczo, wreszcie podjął decyzję:

- Zgoda. Ale tylko jedną godzinę.

- Dziękuję.

- Wezmę klucze. - Odwrócił się.

- Och, czy... - Złapała go za rękę. - Czy mógłbyś najpierw wziąć prysznic?

- Wojowałem ze studnią - Odwrócił się do niej. Zrobił to powoli, jakby prowokująco. - Uchatki to takie delikatne damy? Trochę potu im nie zaszkodzi.

- Wprost przeciwnie - powiedziała nerwowo, oblewając się rumieńcem. - Od razu wyczują człowieka. Nie używamy dezodorantów i zapachowych kosmetyków, nawet szamponu. Dzięki temu nie płoszymy ich. - Policzki ją paliły. Jeszcze chwila, a zemdleje.

- To wiele wyjaśnia. - Jego zielone oczy złagodniały. - Jeśli mam wysmarować się ich łajnem, to nie idę.

- To nie wchodzi w grę. - Odetchnęła. - Szkoda marnować świetną próbkę.

Po raz pierwszy wygiął usta w nieznacznym uśmiechu.

- Daj mi kwadrans.

- Spotkajmy się na miejscu. - Nie miała zamiaru potulnie czekać, aż Adonis się wykapie. - Wiesz gdzie?

- Zatoka Dave'a?

- Tak. - Kate ruszyła do samochodu.

- Godzina już zaczyna się liczyć! - zawołał za nią.

Machnęła ręką i odkrzyknęła przez ramię:

- Odliczaj!

Żadnych dezodorantów. Żadnych perfum. To wiele wyjaśniało. Do tej pory nie mógł jej rozszyfrować. Za pierwszym razem była pochlapana farbą, lecz dziś wyglądała inaczej. Zamiast kostiumu miała na sobie rozciągnięty podkoszulek i workowate spodnie, zresztą brudne jak diabli. Gęste ciemne włosy spięte w koński ogon. Zero makijażu. Zero zapachu.

Prawdziwa, naturalna, stuprocentowa kobieta. O zabójczej figurze.

Nigdy nie spotkał kogoś tak naturalnego i otwartego. Bezradna w prowadzeniu negocjacji, od razu się odkryła. Aż sam chciał jej pomóc. Pokazać, jak się do tego zabrać, co robić. Ocalić ją przed nią samą.

Kate i jej ekolodzy nie mają szans w starciu ze światem. Korciło go, żeby im pomóc. Z drugiej strony działają wbrew jego interesom.

Jednak dopięła swego. Może jest bardziej podobny do ojca niż do tej pory sądził, skoro wystarczyły nerwowe uśmiechy i ujmujący rumieniec, żeby zaczął jeść jej z ręki.

Albo tylko gra bezradną i naiwną, a tak naprawdę bezbłędnie wyczuwa w człowieku słabe miejsce.

Po prysznicu włożył czyste dżinsy, grubą koszulę i znoszone robocze buty ojca. Idealnie na niego pasowały. Leo pewnie przewracał się w grobie, widząc, jak syn idzie na pastwisko w jego starych buciorach.

Sięgnął po drogie ciemne okulary i pobiegł do samochodu. Panna Dickson i jej kumple pewnie siedzą na plaży i liczą pływające w wodzie uchatki. Pokaże im, że to bez sensu. Im prędzej się stąd zwiną, tym lepiej. Jeśli burmistrzowi tak na nich zależy, niech znajdzie im inne miejsce.

Zaparkował obok podniszczonej terenówki Kate, rozejrzał się. Kilka metrów dalej stał jeszcze jeden samochód, w jego cieniu tłoczyło się kilka owiec chroniących się przed palącym słońcem i wiatrem. Zapomniał, jak niegościnnie jest ten skrawek lądu.

Gdy popatrzył w dół urwiska, o prostu go замуrowało.

Kate leżała na wielkiej uchatce, przyciskając nogami jej płetwy. Była w tym samym stroju, tylko na łokciach i kolanach miała ochraniacze. Dwóch szczupłych młodzieńców, brudnych i mokrych nie mniej niż Kate, mocowało coś między łopatkami zwierzęcia. Po chwili przetestowali działanie czarnego pudełeczka i cofnęli się do dwóch stojących w oddaleniu badaczy. Obok kilka uchatki kołysało się nerwowo, obserwując młode.

Grant wstrzymał oddech.

Na plaży nie było samców, lecz i samice mogły zrobić człowiekowi krzywdę. Potrafiły ugryźć, a bakterie bytujące w jamie ustnej były wyjątkowo niebezpieczne. Jedno draśnięcie i Kate do końca tych trzech miesięcy będzie musiała się leczyć. Nawet on o tym wiedział, choć minęło dwadzieścia lat. Ona codziennie ma kontakt z tymi ssakami.

Co ta panna Dickson sobie myśli?

Teraz pewnie niewiele, bo płynnym ruchem zsunęła się na bok, padając na skałę, a uchatka zniknęła w wodzie.

Kate krzyknęła z bólu. Leżąc, popatrzyła w górę prosto na Granta.

Ruszył w dół ledwie widoczną ścieżką. Dotarł do Kate, gdy zdejmowała ochraniacze z łokci. Na opalonych nogach miała ślady mocnych zadrapań.

- Co to jest, do cholery? - spytał gniewnie.
- O co ci chodzi? - Popatrzyła na niego zaskoczona.
- Jazda na uchatce wchodzi w program badawczy?
- Jaka jazda? Co ty pleciesz? Musiałam ją unieruchomić.
- W ochroniaczach na rolki?

Popatrzyła po sobie, po czym spojrzała na niego jak na wariata.

- Stella była na łądzie. Od tygodnia na to czekaliśmy. Nie miałam czasu się przebrać.

Dopiero teraz spostrzegł, że pozostali ekolodzy byli w jaskrawoniebieskich kombinizonach. Chyba, bo pokrywała je gruba warstwa brudu.

- Co wy jej robicie? - Jego uchatkom. Jego od zawsze. JEGO. Czy kiedyś powiedział, że nic, co ma związek z farmą, programowo go nie obchodzi?

- Musieliśmy zainstalować TDR. Będzie go nosić przez miesiąc.

- Co takiego?

- Wskaźnik głębokości - wyjaśniła Kate. - Gromadzi i przetwarza dane, badamy nawyki żywieniowe uchatki.

Popatrzył na morze, potem na Kate. Zaczęło kielkować w nim coś na kształt szacunku.

- To było niebezpieczne.

- Nie martw się, ty za nic nie odpowiadasz. Mamy ubezpieczenie. Wiemy, co robimy. A jej nie dzieje się krzywda. - Widząc jego sceptyczną minę, dodała: - Najwyżej ucierpiała jej duma, ale wybaczy mi. Zawsze tak jest. Uchatki są bardzo odporne. Od dwóch lat robimy to kilka razy w miesiącu.

- Czyli tym się zajmujecie? Siedzicie uchatki?

- Nie tylko. - Kate roześmiała się, ktoś inny jej zawtórował. - To najbardziej ekscytujący moment. - Popatrzyła na baraszkujące młode. - Czasami łapiemy maluchy, żeby je zważyć i sprawdzić ich stan. Jednak przede wszystkim zbieramy próbki.

- Próbki?

- Chodź, pokażemy ci. Może zechcesz pomóc.

No to się zaczęło, pomyślał. Oczami wyobraźni widział, jak szukają na skałach kawałków futra i oglądają je pod wartym miliony dolarów mikroskopem, jak w serialu o laboratorium kryminalistycznym. Albo pobierają próbki krwi od tych słodkich puszystych kulek z wielkimi ślepkami.

- Jasne, czemu nie?

Kate wręczyła mu gumowe rękawice, kilka plastikowych torebek i łopatkę.

- Co wolisz, wymiociny czy odchody?

Ktoś z zespołu zachichotał. Oszołomiony Grant tylko zamrugał.

- Powiedziałeś, że chętnie pomożesz - odezwała się z miną niewiniątka.

Naraz przypomniał sobie jej wcześniejszą uwagę, że szkoda marnować cenną próbkę na smarowanie go łajnem.

- Chyba nie mówisz serio?

- Liczyłeś na coś bardziej seksownego? Niestety, jazda na uchatce już się dziś nie powtórzy. - Z uśmiechem zręcznie zgarnęła łopatką wielki srebrzystoczarny kopiec, zapakowała go do torebki, podała asystentowi, który opisał ją i schował do próżniowego pojemnika.

- Nie żartowałaś. - Poczł skurcz w żołądku.

- A co, wyglądam na komediantkę?

- Nie, wcale nie - mruknął, po czym, by zachować twarz, dodał: - Wolę wymiociny.

Uśmiechnęła się tak szczerze i promiennie, że aż zabrakło mu tchu. W tej samej chwili poczuł cuchnący odór próbki i żołądek podszedł mu do gardła.

- Gdyby zrobiło ci się niedobrze, uważaj na próbki. Nie można ich zanieczyścić. - Odwróciła się, zostawiając go pod opieką zespołu.

Otrzymał krótką instrukcję i wziął się do roboty. Tylko dwa razy omal nie zymiotował. Sam był z siebie dumny. Zebrał trzy próbki i dopiero wtedy zdobył się na zaspokojenie ciekawości.

- Po co to robimy?

Kate starała się ukryć triumfalny uśmieszek, lecz zdążył go dostrzec. Dziwne, bo wcale go to nie ubodło. Przeciwnie, ucieszył się, że sprawił jej przyjemność.

- Badamy zwyczajnie żywieniowe uchatek. Chcemy ustalić, jakim są zagrożeniem dla rybołówstwa.

- Te śmierdzące paćki pozwolą wam to określić?

- Przesiewamy zebrane próbki, żeby oddzielić otolity, czyli kamyczki błędnikowe wchodzące w skład narządu słuchu - odparła z ożywieniem. - Potem identyfikujemy je i liczymy, dzięki czemu wiemy, ile jedzą ryb i jakie.

- Zdajesz sobie sprawę, że to wyjątkowo obrzydliwa metoda? - Przemilczał, że wydała mu się zarazem błyskotliwa. Cóż, to była dla niego nieznana dziedzina nauki, więc wszystko było nowe i niezwykle.

- Oczywiście. Ale też wyjątkowo skuteczna. Cała reszta zostaje strawiona.

Zapakował następną próbkę. Znowu zbierało mu się na wymioty, mimo to spytał z narzuconym sobie spokojem:

- A wymiociny?

- Chitynowe fragmenty kalmarów i rogowe ośmiornic wbijają się w zwieracze gardła i przełyku, co u uchatek prowokuje wymioty. - Pochyliła się nad kolejną kupką odchodów.

No tak, jasne, pomyślał. Wkraczam w surrealistyczną krainę.

- Nie możemy przepuścić ani jednego otolitu - powiedział trochę nieswoim głosem, podnosząc torebkę i patrząc na próbkę.

- No właśnie. - Ucieszyła się, że tak szybko się wciągnął. - Chodź, coś ci pokażę.

- Jasne. - Jeśli nie jest to kolejna wydzielina uchatki, to w podskokach pognam z panną Dickson choćby do piekła, pomyślał.

Podeszli do końca zatoczki. Kate podała mu fotografię pobłyskującej rybki z wyłupiastymi oczami i świecącymi plamami na srebrzystej głowie. Niespecjalnie piękna, lecz coś mu przypominała.

- To świetlik - powiedział.

- Masz rację. - Spojrzała na niego zdziwiona.

- Zapomniałaś, że się tu wychowałem.

- A jednak mnie zaskoczyłeś. Ta ryba żyje na dużych głębokościach. Skąd ją znasz?

Zmarszczył czoło. Z mroku wychynęła twarz ojca, jednak nie potrafił sobie nic więcej przypomnieć.

- Nie mam pojęcia. Co w niej jest takiego wyjątkowego?

- Moje badania pokazują, że dziewięćdziesiąt procent ryb zjadanych przez uchatki to ryby świetlikowate.

- To aż takie niezwykle?

- Te ryby są bezużyteczne dla człowieka. Zbyt oleiste.

- A z tego wniosek... - Urwał na moment. - Już wiem, dlaczego to dla ciebie takie ważne. Uchatki nie podbierają ludziom pożywienia.

- No właśnie, ale jest coś jeszcze. Uchatki są nam bardzo pomocne. Ryby poławiane przez rybaków żywią się tym samym pokarmem, co ryby świetlikowate. Jeśli świetlikowatych jest mniej, ważne dla ludzi ryby mają więcej pożywienia, przez co ich populacja rośnie.

- Co ma istotne znaczenie dla rozwoju rybołówstwa.

- Właśnie.

O cholera! Im więcej uchatki, tym lepiej dla rybaków z Castleridge, pomyślał podekscytowany. Poczul się tak, jakby w konkurencyjnym kontrakcie znalazł słaby punkt. Zaraz też uprzytomnił sobie, co to oznacza.

- Kto o tym wie? - zapytał ostrożnie.

- Na razie tylko mój zespół. Leo też wiedział. A teraz jeszcze ty.

- Dlatego ojciec cię popierał?

- To on naprowadził mnie na trop ryby świetlikowatej. - Widziała jego dziwną reakcją. Cały się spiął, zaklął pod nosem. - W czym problem? - spytała zdumiona. - Leon był zżyty z uchatkami, znał ich zwyczaje, dzielił z nimi tę samą ziemię. - Spojrzała znacząco na Granta. - Też się z nimi wychował.

- To prawda... - Jak mógł zapomnieć? Może jako dziecko ojciec również spędzał wiele czasu w zatoce, też chował się tam przed ojcem?

- Był pod wrażeniem, gdy kolejne badania wykazywały, że ma rację.

Celowo go tak podchodziła, był to czytelny zabieg.

- I cieszył się na myśl, że zabiorą mu ziemię? To chcesz mi wmówić?

- Nie, skądże. - Najpierw umknęła wzrokiem, zaraz jednak spojrzała Grantowi w oczy. - Leo był rozdarty. Chciał postąpić właściwie, lecz zdawał sobie sprawę z konsekwencji dla farmy.

Farmy, która była dla niego wszystkim. Początkiem, środkiem i końcem.

- Liczysz, że podążę jego śladem?

- Myślałam... - Kate spochmurniała, przycisnęła do siebie fotografię.

- Myślałaś, że wspominki o moim ojcu i prezentacja waszych badań coś zmienią?

Dlaczego?

- Bo jesteś prawnikiem. Działasz w imieniu sprawiedliwości. Te zwierzęta są niesprawiedliwie oskarżane i prześladowane. Mamy dowody...

- Kate, zajmuję się umowami i kontraktami, nie pracuję w wymiarze sprawiedliwości. Szukam luk w umowach, furtek w przepisach, pilnuję, żeby każdy wywiązał się ze swych zobowiązań. Teraz też zrobię, co w mojej mocy, żeby wycofać się z umowy, którą zawarł z tobą mój ojciec.

- Jak możesz to zrobić? - Pobladła gwałtownie. - Teraz, gdy wiesz? Możesz ocalić te zwierzęta przed zagładą! - mówiła żarliwie. - Twoja posiadłość może stać się dla nich azylem.

- Kate, nikogo nie mogę ocalić. - Jej przesiąknięte naiwnym idealizmem słowa brzmiały dla niego jak obcy język. - To nie są moje zwierzęta.

- Jak to?! Przecież widziałam, że doprowadzasz farmę do porządku. Żeby była jak kiedyś.

- Bo chcę ją sprzedać. Zrobię to, gdy tylko stanie się moją własnością.

- Sprzedajesz swoją... - Potknęła się, ale jakimś cudem zachowała równowagę. - Sprzedasz farmę?! - Powiedziała to takim tonem, jakby właśnie oznajmił, że zamierza zaszlachtować uchatki dla futer.

- To farma mojego ojca. Nigdy nie była moja, nawet gdy tu mieszkałem. Nie jestem farmerem, tylko prawnikiem. I nigdy jej nie chciałem. - Ojciec wiedział o tym. I jak na ironię zostawił ją synowi, komplikując mu życie.

- Ale uchatki...

- Trzy miesiące, Kate. Ostrzegłem cię. Musicie skończyć wcześniej.

- Nie możemy - rzuciła spanikowana. - Za dwa miesiące zacznie się okres rozrodowy, musimy ustalić, gdzie odbywają gody. To ma dla nas kluczowe znaczenie, zamyka roczny cykl.

- Trzeba było zrobić to wcześniej. - Przykro mu było, że tak ją zestresował, ale cóż, siła wyższa. - Mielicie dużo czasu.

- Myślisz, że nie próbowaliśmy? - Policzki jej poróżwiały. - Od dwóch lat szukamy tego miejsca. To niespotykane, żeby samice oddalały się na znaczą odległość, lecz tak właśnie jest. Nasze urządzenia rejestrują jedynie głębokość, nie pozycjonują zwierzęcia. Przez dwa lata traciliśmy je z oczu.

- Co się stanie, jeśli w tym roku sytuacja się powtórzy? Twoje badania nie stracą ważności. Dwa lata to i tak bardzo długo.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Jak te małe uchatki.

- Jak możesz tak bardzo różnić się od ojca? - spytała cicho, z rozpaczą.

Poczuł się jak smagnięty biczem.

- Kate, mylisz się. Mój ojciec oddałby życie za farmę. Na pewno by nie przyglądałby się spokojnie, gdy władze zabierają mu jego ziemię.

- Chcesz ją sprzedać obcemu?

- Komuś, kto poprowadzi ją jak należy.

- Natura wybrała dla tego miejsca inny cel. - Zarumieniła się jeszcze bardziej. - Powstał delikatny ekosystem przyjazny dla wszystkich stworzeń, które tu żyły, zanim przyszliśmy i skolonizowaliśmy południowe wybrzeże wyspy!

- Ludzi nie rusza delikatny ekosystem.

- Takich ludzi jak ty! - Na jej twarzy odmalowały się rozgoryczenie i zawód. - Nawet gdy nas wyrzucisz, wyniki naszej pracy pozostaną. Badania będą trwały. Tego nie zatrzymasz. - Odetchnęła głęboko. - Zapewne takim posunięciem opóźnisz decyzję konserwatora przyrody, ale tylko opóźnisz. Więc radzę ci - dodała z gryzącą ironią - pośpieszyć się ze sprzedażą, żeby zdążyć przed nim, bo stracisz sporo grosza. I módl się, by nabywca przed sfinalizowaniem transakcji nie poznał naszej opinii oraz intencji konserwatora przyrody. Bo oczywiście sam nie wspomnisz o nich potencjalnemu kupcowi, prawda? - Patrzyła na niego z jawnym potępieniem.

To było gorsze niż wrogie spojrzenia sprytnych biznesmenów, których skutecznie pognębiał. Tyle że z nimi walczył jak równy z równym, a tu... Poczuł się nieswojo.

- Kate, już ci mówiłem, że szukam słabych punktów. A ty podałaś mi je na talerzu, bo za wcześnie się odsłoniłaś. - Ściągnął rękawice i rzucił je do torby. Czuł się jak ta brudna breja, która z nich ściekła. - Masz trzy miesiące.

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez następny miesiąc wstawiała bladym świtem, żeby tuż po wschodzie słońca być w Tulloquay. Pracę kończyła z nadejściem ciemności. Nie miała wyjścia, bo czas kurczył się błyskawicznie. Znowu musi mierzyć się z bezładnym chaosem. Który to już raz?

Dobijała ją sytuacja, kiedy nie miała kontroli nad swoim życiem. Tak było po śmierci rodziców, gdy dorośli o wszystkim sami decydowali. Ludzie, których nie znała i którzy nie znali jej, byli święcie przekonani, że osierocona dziewczynka bez problemu przystosuje się do nowych warunków.

Niestety nie było tak słodko.

To dlatego wybrała karierę naukową. Przyczyna i skutek, logiczne rozumowanie, przewidywalne rezultaty. Praca, w której sama podejmowała decyzje i która rzadko wymykała się spod kontroli.

Aż do teraz.

Robiła, co mogła, żeby maksymalnie wykorzystać czas, który jej pozostał. Połowa zespołu zaszyła się w laboratorium, reszta była na miejscu. Sama pracowała najdłużej, starając się nie myśleć o dniu, gdy będą musieli zakończyć badania i zostawić uchatki.

Mogli zrobić tylko jedno: jeszcze bardziej się sprężyć. Gdyby mieli mobilne laboratorium, zaoszczędziliby sporo czasu na dojazdach, jednak budżet na to nie pozwalał. Już i tak powstał problem z wartym dwadzieścia tysięcy rejestratorem. Zainstalowali go na Stelli, która od dawna się nie pojawiła. Jeśli go nie odzyskają, poniosą dużą materialną stratę, nie mówiąc już o zaprzepaszczeniu miesięcznych danych.

Szkoda jej było czasu na powrót do domu, a wczoraj była tak bardzo zmęczona, że nie miała siły, by rozbić namiot. Trochę posiedziała na klifie zapatrzona w rozgwieżdżone niebo i migoczącą taflę oceanu. Wreszcie dowlokła się do samochodu i walcząc z opadającymi powiekami, odręcznie napisała kolejną część sprawozdania. Na koniec rozłożyła śpiwór na tylnym siedzeniu, zwinęła się w kłębek i zasnęła.

Obudziła się bardzo wcześnie i zeszła niżej, szukając ustronnego miejsca. Gdy wracała, dobiegł ją znajomy głos:

- Tylko mi nie mów, że spałaś na plaży.

Przyłapał ją w takiej chwili. W dodatku potarganą, w pogniecionym i śmierdzącym kombinezonie.

- Grant. - Mimowolnie poprawiła szarpane wiatrem włosy. - Co ty tu robisz?

- Przyjechałem sprawdzić, czy owce mają wodę, i zobaczyłem twój samochód. Spałaś tu? - Przyglądał się jej uważnie.

- Byłam zbyt zmęczona, żeby jechać do domu.

- Wyglądasz okropnie - stwierdził bez ogródek.

Przeciagnęła rękami po ubraniu. Grant był w świeżych ciuchach, prosto spod prysznic, wydawał się jeszcze większy i szerszy w barach niż poprzednio.

- Zostało nam jeszcze tyle roboty, że liczy się każda minuta.

- Gdzie twoi ludzie?

- Tutaj pracuje tylko połowa, reszta w laboratorium. - Próbowała się uśmiechnąć. - Ale dajemy radę. Jest dobrze.

- Co ty powiesz... - Zsunął kapelusz, osłaniając oczy przed słońcem. - Nie jest dobrze, skoro padasz na twarz i nocujesz w samochodzie.

- Mam za mały budżet na mobilne laboratorium i przyczepy. Muszę zadowolić się tym, na co nas stać.

- To by wam pomogło? Gdybyście mieli laboratorium na miejscu?

- I to bardzo. - Wciąż mierzył ją spojrzeniem, ale się nie odzywał, mówiła więc dalej: - Wtedy dzień pracy wyglądałby inaczej. Rano i wieczorem analiza próbek, a w najgorszy upał badamy je w laboratorium.

- Mam pytanie... - Na moment zapatrzył się w morską dal, potem znów przeniósł wzrok na Kate. - Jakie powinno być pomieszczenie? Sterylne?

- Nie. - Serce jej zabiło. Czyżby Grant proponował pomoc? - Wystarczy, gdy będzie suche, zamykane i z dostępem do prądu.

- Co powiesz na garaż? Trzeba go posprzątać, ale stoi pusty.

- Przecież jest ci potrzebny. - Popatrzyła na jego dżipa. Był to wrangler najwyższej klasy.

- Nie. - Oczy mu pociemniały. - Nie jest... odpowiedni.

- Przecież to garaż.

- Chcesz czy nie?

- Dlaczego to robisz? - spytała zdziwiona. - Przecież chcesz się nas pozbyć.

- Wbrew temu, co o mnie myślisz, nie jestem człowiekiem bez serca. - Wytrzymał jej spojrzenie. - Wychowałem się z uchatkami i zależy mi na nich. Też nie chcę, żeby je prześladowano. I tak nie zdążysz dokończyć badań, więc co mi szkodzi ułatwić ci życie.

- No tak... - Nie mogła odmówić mu racji. - A jeśli jednak się mylisz?

- Nie wyszedłbym z propozycją, gdyby był choć cień takiej szansy.

- No tak... - powtórzyła zdumiona tym, że wcale jej nie rozzłościł.

Przeciwnie, zaimponował jej tym rozumowaniem. Owszem, dopilnuje swoich interesów, taki jest absolutny priorytet, ale skoro ma wybór, to woli zachować się po ludzku, a nie jak ktoś zimny, mający w nosie innych.

Usłyszała jednak jeszcze coś:

- Przykro mi patrzeć, jak się zamęczasz. - Oczy mu złagodniały. - Czy od naszego spotkania miałaś choć jeden dzień luzu?

Okazuje się, że ma też dobre serce. Jednak nie będzie tak myśleć o kimś, przez kogo wali się jej świat.

- Zegar gna do przodu - powiedziała cicho. - Potem będę miała aż za dużo luzu.

- Proponuję ci mój garaż. - Czuł się okropnie. To z jego powodu musiała tak się śpieszyć. - Wykorzystaj to.

Przez chwilę biła się z myślami, jednak zdrowy rozsądek zwyciężył.

- Dzięki, Grant. To nam bardzo pomoże. - Zagryzła wargi.

- Coś jeszcze, Kate?

- Tak - kuła żelazo, póki gorące. - Mogłabym rozbić namiot na twoim pastwisku?

Byłabym cały czas na miejscu. Współpracownicy dowoziliby potrzebne rzeczy. Większość ma rodziny, więc muszą wracać do domu.

- Ty nie masz?

Była zła na siebie, że niepotrzebnie poruszyła ten temat, ale stało się.

- Mam tylko ciocię Nancy. Rzadko się widzimy. - Zwariowana cioteczka zajęła się nią po śmierci rodziców, zapewniła naukę i dach nad głową. Z czasem ich relacje

uległy zmianie, teraz to ona bardziej się nią opiekuje, niż na odwrót, choć z racji pracy raczej na odległość.

- A rodzice? - zapytał niby ot tak, lecz patrzył na nią badawczo.

- Rodzice... - Nie mogła uchylić się od odpowiedzi. Ból wciąż był żywy. - Zginęli w wypadku, gdy byłam dzieckiem.

- Gdzie byłaś? - spytał po chwili.

- W szkole. Przyszła po mnie dyrektorka.

- Szczęście, że nie byłaś wtedy z nimi.

- Można tak powiedzieć. - Chociaż nie zawsze tak myślała.

Najpierw przygarnęła ją dyrektorka, potem przyjechała po nią ciocia. Mama wspominała o siostrze, lecz Kate nigdy jej nie widziała. Ciocia Nancy zabrała ją do wielkiego miasta, rodzinna farma została sprzedana, spłacono zaciągnięte zobowiązania, a resztę pieniędzy przeznaczono na potrzeby Kate oraz zdeponowano w banku aż do jej pełnoletności. Zabroniono jej odwiedzać farmę. Gdy dorosła, zrozumiała, że wszyscy chcieli dla niej jak najlepiej. Jednak nikt nie potrafił zrozumieć dziecka, które w jednej chwili straciło rodziców, dom, przyjaciół, po prostu wszystko.

- To trudne, gdy w młodym wieku jest się zdanym wyłącznie na siebie.

- Twój ton... Mówisz, jakbyś sam tego zaznał. - Popatrzyła mu w oczy.

- Wyjechałem z farmy, gdy miałem szesnaście lat. Z ojcem... nie układało się tak, jak powinno. Więc nastał czas, żebym poszedł własną drogą.

- Co robiłeś?

- Przez kilka miesięcy łapałem się wszystkiego. Pracowałem w tartaku na godziny, żeby mieć dach nad głową. Dokończyłem naukę w miejskim college'u. Dostałem stypendium na studia z prawa i zarządzania. I tak to już poszło.

Sam sobie wszystko zawdzięcza, pomyślała. W wieku dwudziestu ośmiu lat został partnerem w firmie. Talent, pracowitość, i to coś, co sprawia, że jeden robi karierę, a drugi aż do emerytury pozostaje w cieniu.

- Kto by pomyślał, że tyle nas łączy! - Po tych jej słowach zapadła chwila ciszy. - To jak, mogę rozbić namiot?

- Nie. - Sam był zaskoczony swoją reakcją. - Mam wolny pokój. Będzie ci wygodniej.

Wlepiła w niego wzrok.

- Nie mogę zamieszkać u ciebie - odparła natychmiast. - Prawie cię nie znam.

- Więc będzie okazja, by to zmienić.

- Co ludzie powiedzą?

- Ejże! - Spojrzał na nią kpiąco. - Naprawdę przejmujesz się plotkami ze sklepu czy pralni?

- No dobra, mam to w nosie.

- Kate, rozumiem, że moja propozycja cię zaskoczyła. To naturalne. Ale jesteś w trudnej sytuacji, a zapewniam, że ze mną da się wytrzymać. Wprawdzie mamy sprzeczne interesy, ale nie będę sabotować twojej pracy.

- Badania posunęłyby się o wiele szybciej.

- O ile? - spytał czujnie.

- Nie bój się. - Uśmiechnęła się smętnie. - Zdradzę ci coś więcej, niż wiedziałeś do tej pory, choć dla własnego dobra nie powinnam tego robić. Ale cóż, sam powiedziałeś, że jestem fatalnym negocjatorem.

- Zamieniam się w słuch.

- Nawet gdybyśmy cudownym sposobem rozciągnęli dobę do czterdziestu ośmiu godzin i pracowali bez snu i odpoczynku, i tak nie wydebimy nakazu konserwatora. Nie ma na to szans, jeśli nie znajdziemy miejsca godów.

- To takie istotne?

- Zaakceptują wszystkie nasze wnioski, ale tylko wtedy, gdy podamy im to miejsce. - Widziała po jego minie, że myśli nad czymś intensywnie. Chce zmienić zdanie? - Nie martw się - dodała szybko. - Minęły dwa lata, a nadal nie mam pojęcia, gdzie to może być. Będziesz górą.

- Kate, nie chodzi o osobiste relacje. To tylko biznes.

- Ty tak mówisz. Twój ojciec inaczej to traktował. - Popatrzyła na niego twardo. - Dlaczego sprzedajesz farmę? Zostawił ci ją.

- Bo nie jestem farmerem. Przez ten miesiąc jeszcze bardziej to sobie uświadomiłem. Po prostu nie znam się na tym.

- Ktoś mógłby ci pomóc. Któryś z farmerów.

- Mam nadzieję, że będą się bić, gdy wystawię farmę na sprzedaż. Jeśli zorientują się, że działam w desperacji, nikt nie da mi dobrej ceny.

- A jeśli im powiem? O twojej desperacji i zakusach konserwatora przyrody?

Już wcześniej go ostrzegęła, wyczuła jednak, że dopiero teraz pomyślał o takiej możliwości. Mimo to powiedział:

- Nie wyglądasz na kogoś, kto tak postępuje.

- Inaczej niż ty?

- Owszem, Kate. Bardzo się różnimy.

- W jakim ty żyjesz świecie! - niemal wykrzyczała.

- W realnym, a nie w takim, którym rządzą szlachetne ideały. W realnym, w którym decyduje biznes, a nie mrzonki. Bo taka jest ludzka natura, Kate, a jej znajomość to moja specjalność. - Przerwał na moment. - Pas buforowy jest kluczową informacją, jeśli chodzi o cenę farmy. W świecie realnym tylko to się liczy, a nie to, że jest ważny dla ekosystemu. I będę starał się ukryć tę informację, by ktoś inny nie wykorzystał jej przeciwko mnie, czyli obniżył cenę.

- Nie myślałam, że aż tak zależy ci na pieniądzach.

- I tu dochodzimy do czegoś, co być może zaakceptujesz, bo jest bliskie światu ideałów. Kate, wcale nie chodzi mi o pieniądze, ale o coś więcej. To nasza rodzinna posiadłość, nasz farma. Ktoś, kto ją kupi, nie może jej dostać za grosze. Znowu odwołam się do ludzkiej natury. Nowy właściciel będzie szanował farmę i zrobi wszystko, by się rozwijała, tylko wtedy, gdy dużo za nią zapłaci.

Brzmi to sensownie, pomyślała. Jeśli zabiorą sporą część areału, w dodatku od strony wody, ziemia będzie nadawała się tylko na pastwiska. Jednak Grantowi zależy na tym, by ktoś tu gospodarował. Leo by to pochwalił.

Jednak na razie sam zajmował się farmą, choć przyznał, że ma z tym problemy.

- Może ja ci pomogę w Tulloquay? W podzięcie za garaż i pokój.

- Znasz się na tym? - Popatrzył na nią sceptycznie.

- Mój tata był lekarzem, ale mieszkaliśmy na farmie mamy. Mieliśmy bydło mleczne. Sporo pamiętam.

- Nie masz czasu na własne badania.

- Nie mówię, że wszystko zrobię, ale mogę dać ci kilka rad. Reszta będzie na twojej głowie, sporo znajdziesz w internecie.

- Dlaczego chcesz mi pomóc? Uważasz mnie za palanta, który sam sobie nie poradzi?

Za dupka, sprostowała w duchu.

- Chcę mieć z tobą dobre układy. Twój ojciec pozwolił mi pracować tu dwa lata, a dla mnie to bezcenne. Pomogę ci ze względu na niego. - Rozejrzała się. - No i polubiłam owce, więc wolałabym, żeby nie głodowały.

- A co, uważasz, że głodują?

- Nie - odparła z uśmiechem. - Ale niedługo trzeba je będzie odrobaczyć. Pomyślałaś o tym?

- Hm... - Pokręcił głową. - Skąd mam wiedzieć, że nie będziesz mi szkodzić?

- Musisz mi zaufać. - Grant, dodała w duchu, w jakim ty żyjesz świecie?

- Zgoda - powiedział po długim namyśle. - Pokój i laboratorium w zamian za porady. I pełna dyskrecja.

- Skoro to dla ciebie konieczne. - Przewróciła oczami.

- Konieczne, Kate. Ty jesteś specjalistką od wymiocin uchatek, a ja od ludzkiej natury.

- Ciekawa analogia. - Odetchnęła głęboko. - Umowa stoi, ale pod jednym warunkiem. AC-DC nie głośniej niż osiemdziesiąt decybeli.

Po raz pierwszy zobaczyła jego szeroki uśmiech. Olśniewające zęby, zielone oczy. Zabrakło jej tchu.

- Umowa stoi. - Wyciągnął do niej rękę.

Jej zziębnięta dłoń zniknęła w jego dużej, ciepłej dłoni. Dłoń Goliata. Pomyślała, że tak właśnie wygląda ich relacja. Grant godzi się na jej obecność, nawet jest gotów pomóc, lecz on tu rządzi.

Póki co.

Pomyślała o sprawozdaniu leżącym na tylnym siedzeniu samochodu. Wyprostowała się i zacisnęła palce na jego dłoni.

- Wieczorem się wprowadzę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Wiesz, że ten zapach jest koszmarny? - Grant skrzywił się z obrzydzeniem.

Ten jej uśmiech jest za bardzo urzekający. Kate mieszkała pod jego dachem dopiero od dwóch dni, a już miał poczucie, że była tu zawsze, jak zapach ojcowskich papierosów.

- Tak musi być. Im mocniej śmierdzisz, tym uchatki bardziej cię lubią.

- Jeszcze trochę, a uznają cię za swoją.

Roześmiała się perliście, na umorusanej twarzy pojawiły się urocze dołeczki. Poczul skurcz w żołądku. Znowu. Za często mu się to zdarza.

- Dobrze nam dzisiaj poszło. Jutro mogę cały dzień badać próbki. - Wiedziała, że Granta nie cieszą jej postępy w pracy, a zarazem przyczynił się do tego. Cóż, był przekonany, że i tak ekolodzy nie zdążą. - Wezmę prysznic, a aromatyzowany kombinezon zostawię w laboratorium.

Laboratorium w pomieszczeniu dawnego garażu... Początkowo zamierzał zrobić tam składzik, jednak uzmysłowił sobie, że nie przemoże się, by tam wejść. Lepiej niech to będzie laboratorium, a nie grobowiec, co akurat było najbardziej adekwatnym określeniem. Czy Kate miałyby opory, gdyby знаła prawdę? Raczej nie. Jest naukowcem, znała brutalny darwinowski świat przyrody. Z drugiej jednak strony była związana z Leonem.

- Często widywałeś się z moim ojcem? - zapytał, gdy przyszła czysta i pachnąca.

Na werandzie stały pudła przywiezione przez jej współpracowników zawierające sprzęt laboratoryjny. Zaczęła je zanosić pod drzwi garażu. Złapał się za największe.

- Jakież trzy razy w tygodniu.

Przez dwa lata. Gdzież mógłby się z nią równać?

- Pewnie nie było łatwo, gdy był przeciwko waszym pomysłom?

Kate uśmiechnęła się i dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo czekał na jej uśmiech. Te dołączki w policzkach. Od razu poprawił mu się nastrój.

- Nie było, nawet gdy już się pogodził.

Grant zatrzymał się tuż przed garażem. Dalej nie zrobi ani kroku.

- Pogodził się z faktem, że odbiorą mu ziemię?

- Przestał być taki uparty. - Postawiła pudło, zadumała się. - Upór jako sposób na życie... To cały Leo, prawda?

- Zawsze taki był - prychnął Grant.

- Nie, nie. Powierzchowna uwaga z tym uporem. Myślę, że Leo był samotny. Przedłużał negocjacje, bo chciał mieć kontakt z ludźmi. - Dostrzegła ból w oczach Granta. - Przepraszam - rzuciła pośpiesznie. - To nie moja sprawa.

- Mojemu ojcu nigdy nie doskwierała samotność. - Najbardziej lubił być sam ze swymi myślami, z dala od syna, który musiał szukać sobie zajęcia, tułać się po okolicy.

- Twój ojciec udzielał się społecznie, pomagał kolegom, ale można być zajęтым, a jednocześnie samotnym.

- Mówisz z własnego doświadczenia? - Tym razem to on dostrzegł w jej oczach ból, lecz nie mógł już cofnąć słów.

- Niektórzy są znudzeni, ale wmawiają sobie, że nie jest źle.

Czy to aluzja do niego? Cięta riposta? Nie, to raczej niemożliwe...

- Nie powiedziałbym o ojcu, że się nudził.

- Ja też. Na farmie nie masz chwili wolnego, gdy wszystko jest na twojej głowie.

Skrzywił się. Może gdyby był z ojcem, odprawiłby Kate i nie byłoby problemu. Może ojciec by nadal żył. A może non stop by się z nim spierał, zamiast rozmawiać z tą intrygującą kobietą?

Przynieśli następne pudła. Zaraz nadejdzie moment, którego najbardziej się obawiał.

- Mógłbyś...? - Kat zerknęła na pudła stojące pod drzwiami garażu.

Serce waliło mu jak młot. Nie proś mnie o to, błagał w duchu. Nie każ mi odmawiać.

- Tylko te najcięższe - dodała.

Nie pozostało mu nic innego, jak zażartować:

- Co z twoją niezależnością? Kończy się, gdy trzeba nosić ciężary? - Był wściekły na siebie, lecz wiedział, że nie miał wyjścia. Bo najchętniej natychmiast by stąd zwiął.

- Przepraszam, na pewno jesteś zajęty - powiedziała sztywno. - Dam sobie radę.

To oczywiste. Była dzielna i zdana na siebie, a przy tym otwarta na innych, w czym przejawiała często nawet odruchową inicjatywę. Odkąd dwa dni temu weszła do jego domu z zaskakująco skromnym bagażem, wciąż pierwsza wyciągała do niego rękę. Nie pękaj, mały!

Zabrzmiało to jak głos ojca. I jego.

- Kate, poczekaj. To był kiepski żart. Przepraszam.

- Nie. - Umknęła wzrokiem. - Zrobiłeś bardzo wiele, dając mi pokój i miejsce na laboratorium. Nie mogę cię wykorzystywać...

- Och, daj spokój - Sięgnął po najcięższe pudło. - Otworzysz drzwi? - Na szczęście miał zajęte ręce. Sam nigdy by się nie zdobył, żeby nacisnąć przycisk. On, taki twardeł... A gdy drzwi zaczęły się podnosić, instynktownie przysunął się do Kate.

- Och, jak super! - Wpadła do garażu.

Serce biło mu jak szalone. Przynajmniej dobre to, że Alan sprowadził ludzi do posprzątania garażu. Nic nie świadczyło o tym, co tu się wydarzyło.

- Pasuje, Kate? - Tylko ci, co go dobrze znali, wyczuliby zmianę w jego głosie.

- Wprost idealnie! Ma wszystkie instalacje. Jest nawet lodówka.

- Tata trzymał w niej piwo. Aha, i z czymś eksperymentował. Był tu słój z grubą warstwą przypominającą naleśnik.

- Kombucha - wyjaśniła z uśmiechem. - Cieszę się, że w końcu spróbował. To ja go namówiłam.

- Co to takiego?

- Grzyb herbaciany. W procesie fermentacji herbaty daje orzeźwiający napój. Naprawdę życiodajny.

Jak bardzo przez tych dwadzieścia lat zmienił się jego uparty, zgryźliwy ojciec, skoro uległ namowom ślicznej ekolożki? Co ich łączyło? Coraz bardziej czuł, że nie była

to powierzchowna znajomość, lecz prawdziwa przyjaźń. Kate z ożywieniem oglądała przyszłe laboratorium.

- Jeszcze możesz zmienić zdanie - powiedziała, dając mu szansę.

- Masz ten garaż dla siebie. - Miałby zmienić zdanie? Nigdy w życiu! - Tylko nie wysadź go w powietrze.

- To nie takie badania. Głównie oglądamy próbki pod mikroskopem. Jeśli tylko zechcesz, przyjdź zobaczyć. Zapraszam.

- Nie obraż się, jeśli nie skorzystam. - Cóż, miał ku temu ważny powód.

Kate nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nie pojmowała, czemu Grant nie trzyma tu swego drogocennego auta, lecz cóż, jego strata. Laboratorium na miejscu to niesamowity bonus. Praca ruszy z kopyta, a Kate zyska czas, żeby z wody przeszukać wybrzeże. Akurat z tym nie powinno być problemu, bo w miasteczku mieszka wielu rybaków. Cieszyło ją jeszcze coś. Wreszcie znów będzie mogła działać według precyzyjnego planu, a nie na łapu-capu ścigać się z zegarem.

- Kiedy zaczniemy porady farmerskie?

Trochę się rozluźnił, choć jeszcze przed chwilą wyglądał jak skazaniec idący na gilotynę. Jednak nie oswoił się z garażem, dla niego to było, jest i będzie miejsce przekłete. Niech niczego nieświadoma Kate z niego korzysta, ale on marzył tylko o tym, by jak najszybciej stąd zniknąć.

Tak, niech Kate sobie tu pracuje. Robił to tylko z grzeczności, ale jednak. Jest nieodrodnym synem swojego ojca. Ile czasu minęło, nim Leo się do niej przekonał! Potem łączyły ich niemal rodzinne relacje. Widać oni już tak mają.

- Nie wracam do domu, więc mam wolne wieczory - odparła ostrożnie. Pogadają przy kolacji, na luzie. - Co ty na to?

- Wieczorowe kursy... - Patrzył na nią z uwagą. - Czemu nie? Wieczory są długie.

- Tylko nie w piątek, bo chcę pojechać do Castleridge.

- Pojadę z tobą do miasta.

- Po co?

- Och... - Zmarszczył brwi.

- Potrzebujesz towarzystwa? - rzuciła z uśmiechem.

- Może ktoś by mi się przydał.

Ot, niby tak sobie gadali, ale ważne były niuanse, zawieszony głos, spojrzenie, intonacyjna nutka. Coś się działo między nimi, Kate już to wiedziała.

- Hm, może nam obojgu się poszczęści - spuentowała żartobliwie.

- Różnie bywa z tym szczęściem, Kate. Pamiętaj, że jestem w pogotowiu, gdyby miejscowi mieli coś do ciebie. Raczej nie kochają ekologów.

- Cóż, jesteśmy obcy, a ssaki mają silnie rozbudowany instynkt terytorialny, szczególnie samce. - Patrzyła na niego z miną niewiniątka, lecz nie dał się zwieść. - Ustalimy tajny sygnał, w razie gdybym znalazła się w tarapatach?

- Nie ma potrzeby. Będę wiedział, gdy zaczną wznosić szubienicę, i przybiegnę.

- Żeby im pomóc?

- Nie wiem, czas pokaże. - Przesunął po niej taksującym wzrokiem.

- Zaraz... czyżby to lód trzeszczał w piekle? - Udała, że nasłuchuje.

- Nie, to moje kości trzeszczą pod tymi pudłami. Co w nich jest? Sztabki złota?

Od jego uśmiechu zrobiło się jej gorąco. Korciło ją by dalej się z nim droczyć, jednak zwyciężył zdrowy rozsądek. Niestety nie może pozwalać sobie na flirty. Grant jest po drugiej stronie. Odbiera jej szansę na dokończenie badań, przez niego traci kontrolę nad tym, co dla niej najważniejsze.

Nikt znów nie odbierze jej do tego prawa.

Nikt.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie potraktowała poważnie obaw Granta, lecz teraz musiała przyznać mu rację, bo żaden z rybaków nie chciał jej wziąć na rejs wzdłuż wybrzeża.

- Naprawdę przez cały miesiąc nie znajdzie pan wolnych paru godzin? - spytała z niedowierzaniem. Stary Joe Sampson był czwarty z kolei. Jak to możliwe, że wszyscy są tacy zajęci?

- Na to, co pani chce, na pewno nie znajdę.

- Przecież czarteruje pan kuter - nalegała, choć wreszcie zaczęło do niej docierać, w czym rzecz. - Praca jak praca.

- Nie tutaj, kochana. - To miłe słówko zabrzmiało jak obelga. - Tutaj wybiera się robotę, a nie na odwrót.

- Dlaczego pan nie chce?

Gdy Joe pochylił się ku niej, buchnęło piwem. Zęby miał żółte od nikotyny.

- Już powiedziałem. Nie mam czasu.

- Ale na picie z kumplami czasu panu nie brak - odparła podniesionym głosem, prostując się.

Kumple Joego zarechotali, więc spiorunował ich wzrokiem, Kate zresztą też.

- Owszem, kochana - wycedził. - Lubię sobie wypić. Z kimś takim lepiej nie wypływać.

- Jak się nie ma, co się lubi...

Kumple znów zarechotali.

- Słuchaj, paniusiu! Radzę...

Nagle silna ręka odciągnęła ją od zjeżonego rybaka.

- Kate, przepraszam za spóźnienie, ale miałem pilny telefon. Możemy iść do stolika?

- Jasne, Grant. - Poczwała miły dreszczyk.

- Jest gościem na waszej farmie, McMurtrie - świszczącym głosem rzekł Joe. - Tylko z szacunku dla twojego ojca nie powiedziałem jej, co może sobie zrobić z prośbą o czarter.

- Joe... - jednocześnie zainteresowali znieśczeni Grant i barman.

Lecz wściekły rybak miał to gdzieś, więc mówił dalej:

- Leo zgłupiał dla miastowej panny, ale nie wszyscy dają się tak omotać.

- Omotać?! - Kate zagotowała się z gniewu. - Znał pan Leona?

- Dorastaliśmy razem, kochana. - Joe odstawił piwo, gotów do walki.

- Nie jestem miastową panną. Wychowałam się w małym miasteczku, mniejszym od tego.

- To wracaj tam! - ryknął Joe. - Takich jak ty nam tu nie trzeba!

Nawet jego kumple mieli już dość. Zabrali Joemu piwo i zaczęli odciągać go od baru.

- Tak? - Wyprostowała się jak struna.

- Kate...

Nie słuchała ostrzegawczego szeptu Granta, tylko wykrzyczała:

- To znaczy jakich?

W barze zaległa cisza. Nawet goście z sali restauracyjnej zerkali w ich stronę.

- Pieprzonych ekologów! Trzęście się nad złodziejskimi fokami, a ludzie, którzy tu mieszkają, macie gdzieś!

Grant zacisnął palce na jej ramieniu, próbując odciągnąć ją od baru.

- Te zwierzęta mają większe prawo do tego terenu niż ludzie. Polują tu od tysięcy lat.

- Bzdura! Znam te strony dużo dłużej niż ty, paniusiu. Gdy byłem mały, prawie ich tu nie było. Tylko kilka na farmie Leona.

- To dlatego, że tacy durnie jak pan prawie je wytępilli! Dopiero niedawno ich populacja zaczęła...

- Kate! Dość już. - Grant stanął między nią a rozwścieczonym Joem.

- Zejdź mi z drogi. - Te słowa powiedziała do Granta, lecz ich przesłanie było skierowane do zgromadzonych w pubie rybaków.

- Kate, przestań - powiedział cicho Grant. - Tylko sobie zaszkodzisz.

- Oho, jeszcze jeden McMurtrie zaślepiiony pięknymi nóżkami - prychnął Joe. - Albo tym czymś między nimi.

Mimo prób kumpli Joego, by zażegnać konflikt, Grant już trzymał starego rybaka w stalowym uścisku i wysyczał:

- Przepróż.

- Nie będę przepraszać żadnej miastowej! - pieklił się Joe.

- Nie mówię o Kate. - Potrzęsnał nim brutalnie. - Sama umie o siebie zadbać. Przepróż za sugestię na temat mojego ojca.

Kate wstrzymała oddech, jak i wszyscy obecni w pubie.

- No dobrze - powiedział wreszcie Joe. - Nie powinienem źle wyrażać się o zmarłym.

- Mój ojciec umówił się z Kate i jej zespołem. Miał prawo, bo to jego ziemia. Nic więcej.

- Podobno - bezmyślnie rzucił Joe.

Grant spał się, atmosfera nabrzmiała, szczęśliwie brodaty rybak John Pickering postąpił do przodu i oświadczył:

- Ja z nią popłynę. Nie ma problemu.

- Pieprzony zdrajca! - ryknął Joe.

- Stary, opanuj się. - Pickering popatrzył na Kate i Granta. - Przegięliśmy. Przykro mi, że nie przerwałem tego wcześniej, ale chcę to naprawić. Możemy popłynąć jutro po południu. Za pół ceny.

- Dzięki - odparła kompletnie zaskoczona.

Grant cicho zamienił kilka słów z barmanem, po czym karcącym tonem powiedział do Kate:

- Mogło skończyć się o wiele gorzej.

- Miałaś rację, gdy powiedziałaś, że sama dam sobie radę. Obyłabym się bez twojej pomocy.

- Prowokowałaś jednego z najstarszych mieszkańców Castleridge. Mogłaś bardzo zaszkodzić sobie i swojej sprawie.

- Skąd się tutaj wzięłaś? Miałaś być w kinie.

- Człowiek czasem musi coś zjeść.

- Często jadasz sam, co?

- Jest piątkowy wieczór. Zawsze można na kogoś wpaść. Jeśli kłamie, to jest w tym dobry, pomyślała.

- Naprawdę masz stolik?

- Mam. Chyba że przez twoje awanturnictwo wyrzucą nas na bruk.

- Tak, jasne. - Z uśmiechem ruszyła za nim.

Powiedział, że sama umie o siebie zadbać. Powinno ją to ucieszyć, bo przez lata nikt nie liczył się z jej zdaniem. Młoda badaczka w świecie zdominowanym przez mężczyzn długo nie miała wiele do powiedzenia. A jednak to, że Grant stanął w jej obronie, obudziło w niej inne, trudne do ogarnięcia rozumem i uśpione dotąd uczucia.

Kelnerka, która prowadziła ich do stolika, z uznaniem puściła oczko do Kate.

- Mam nadzieję, że tu będzie spokojniej. - Przyjęła zamówienie na drinki i poszła sobie.

Gdy usiedli, ludzie przestali się nimi interesować, tylko Joe Sampson złowrogo mierzył wzrokiem plecy Kate, o czym szczęśliwie nie wiedziała.

- Opowiedz mi o rodzinnej farmie Dicksonów - zagadnął Grant.

Kate podniosła na niego oczy.

- Głównie hodowaliśmy krowy, było też trochę owiec i kilka alpaki.

- Co się z nimi stało, gdy przeprowadziłaś się do miasta?

- Zapewne zostały sprzedane.

- Nie wiesz tego na pewno?

- Nigdy o to nie zapytałam. - Zacisnęła dłonie pod stołem. - Nie chciałam wiedzieć.

Dwie alpaki były moimi pupilkami.

- I nikt nie poprosił cię o zgodę? Nie spytał, czego chcesz?

Ludzie, którzy zorganizowali jej życie na nowo, mieli koszmarnie zadanie. Chciała ich bronić, jednak Grant spytał o to, co dręczyło ją przez całe dorosłe życie. Czy naprawdę musieli o wszystkim decydować bez niej?

- Miałam dwanaście lat - rzuciła niby obojętnym tonem. - Co mogłam zrobić? Było wykluczone, by ciocia przeniosła się na farmę, więc jaki miałam wybór?

Pytanie zawisło w powietrzu, bo podeszła kelnerka, by przyjąć zamówienie. Gdy znów zostali sami, Grant powiedział:

- Zabawne... Ja robiłem wszystko, żeby się stąd wyrwać, a ty oddałaś życie, żeby wrócić na farmę.

- Nadal bym to zrobiła.

- Byłaś tam potem?

- Tylko raz, kilka lat temu. Czas nie uleczył ran. Nie mogłam patrzeć na obce dzieci wspinające się na moje drzewa, pranie rozwieszane na sznurach mamy. - Głos jej zadrział.

- Rozumiem, Kate. - Popatrzył jej w oczy. - Ból straty... Ale czas płynął swoim rytmem i wreszcie dorosłaś. Dostałaś jakiś kapitał po rodzicach?

- Niezbyt duży, bo większość pieniędzy ze sprzedaży farmy poszła na spłatę kredytu, a część dostała ciocia na moje utrzymanie. Gdy skończyłam osiemnaście lat, to, co czekało na mnie i procentowało, wpłaciłam jako wkład własny na mieszkanie. - Złożyła dłonie, pochyliła się ku niemu. - Grant, dlaczego sprzedajesz Tulloquay? Rozumiem, że chcesz zachować farmę w całości, ale dlaczego chcesz się jej pozbyć? Możesz ją wdzierżawić albo zatrudnić zarządcę. Nie chcesz, żeby została w rodzinie?

- W jakiej rodzinie? - Po śmierci ojca nikogo już nie miał.

- Twojej przyszłej rodzinie. Nim ją założysz, ktoś mógłby zarządzać farmą.

- Kate, przymawiasz się o nową pracę?

- Nie. - Jakoś nie poczuła się rozbawiona. - Tyle że oddałabym wszystko, gdybym mogła wrócić na naszą farmę. Gdybym znów miała swój kawałek ziemi, coś, co należy tylko do mnie. Och, Grant, nie chodzi mi o powrót do przeszłości. To naiwne i głupie. Chodzi mi o trwały fundament. O przyszłość, o dom. Nie rozumiem, dlaczego chcesz pozbyć się swojej ziemi, swojego fundamentu, nawet gdyby przez jakiś czas nic się tu nie działo.

- Wolę, żeby farmę poprowadził ktoś obcy, niż żeby popadła w ruinę.

- Patrzę na ciebie i wciąż mam wrażenie, że widzę Leona. - Gdy zeszywniał, dodała szybko: - Grant, to miał być komplement. Owszem, Leo był trudnym człowiekiem, ale emanował pozytywną siłą. Zależało mu, żeby farma kwitła.

- W takim razie powinien zapisać ją komuś innemu.

- Bo tobie jest to obojętne?

- Bo nie jestem farmerem.

- Już to mówiłeś. Myślisz, że farmerzy od małego wszystko wiedzą? Rodzą się z tym?

- Uczą się od dziecka.

- Leo cię nie uczył? - spytała zdziwiona.

Z zadumą wpatrywał się w piwo, wreszcie wyznał niechętnie:

- Próbowałem, ale napotkałem mój opór.

- Już jako dzieciak nie chciałem farmy?

- Nie chciałem niczego, do czego mnie przymuszano. Gdyby ojciec widział moją przyszłość w wojsku, pewnie bym został farmerem. Za bardzo na mnie naciskał.

- Rozumiem. - Wyczuła, że powiedział więcej, niż chciał. - Leo był nieugięty, a już zwłaszcza... No, pod koniec, gdy uznał, że jego czas się kończy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Grant jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

- Przepraszam, może nie powinnam była do tego nawiązywać...

- Mów, Kate.

- Chodzi mi o to, że gdy usłyszał diagnozę, czas zaczął mu się kurczyć. Spieszył się, żeby uporządkować sprawy. - Przeraziła ją mina Granta. Czyżby Leo nie powiedział synowi?!

- Jaką diagnozę? - zapytał zmienionym głosem.

- Grant, naprawdę nie wiesz? Byłam pewna, że...

- Kate! Jaką diagnozę?

- Grant...

- Kate, mów!

- Rak płuc. Terminalny.

A niech cię, Leo, pomyślała. Powiedziałaś obcej osobie, ale nie własnemu synowi. Splotła palce z lodowatymi palcami Granta. Widziała, jak próbuje zapanować nad emocjami. Dała dyskretny znak kelnerce, która zjawiła się z potrawami, i bystra dziewczyna zawróciła do kuchni. Grant mocniej zacisnął palce na jej palcach. - Już lepiej?

Dopiero po chwili potrząsnął głową. Nie był już taki blady, lecz jego oczy straciły blask.

- Nic nie wiedziałem. Przepraszam, że to na ciebie spadło... - Urwał.

- Och, Grant... - Łzy zapiekły ją pod powiekami. Poczwała, jak Grant delikatnie oswabadza palce, potem cofa ręce. - Powiedział mi w sierpniu. Wtajemniczył mnie, bo często bywałam na farmie, więc w razie czego... - Mnie powiedział, dodała w duchu. Ale tobie nie.

- Coś mu się stało. Ale ciebie wtedy nie było.

- Byłam na konferencji. - Umknęła wzrokiem. - Fatalnie się złożyło.

- Nie byłaś jego pielęgniarką.

- Przyjaźniliśmy się. Możesz w to nie wierzyć, ale nie byłeś tutaj...

- Mam swoje życie! - Oczy mu zapłonęły.

- Wiem, jak ci ciężko - powiedziała łagodnie. - Ale prawda jest taka, że nie masz podstaw, by oceniać nasze relacje. - Popatrzyła mu w oczy. - Mój Boże, Grant, przecież straciliście ze sobą kontakt, dlatego Leo zwierzył się mnie. Myślę, że burmistrz też wiedział.

- Jeśli tak... - oczy mu pociemniały - to będzie musiał się gęsto tłumaczyć.

Zmarszczyła brwi. Wyczuła, że jeszcze coś jest na rzeczy, ale zostawiła to.

- Wracajmy na farmę - zaproponowała.

- Zamówiliśmy jedzenie.

- Przyrządzę coś w domu. - Wstała i wyciągnęła rękę, lecz Grant nie podał swojej. Jeszcze się nie pozbierał. - No chodź - powiedziała łagodnie.

Podniósł się i położył na stoliku większą sumę, niż wyniósłby rachunek. Gdy wyszli na ulicę, Kate powiedziała, że będzie prowadzić. Opierał się, lecz w końcu dał jej kluczyki.

Był jak porażony. Rak. Rak płuc.

Nagle wszystko zaczynało się układać. Mina Alana, gdy wspomniął o ścianach przesiąkniętych zapachem papierosów. Zdrowotny grzybek w lodówce. Porządek w papierach...

Czekał, aż Kate wyjedzie, dopiero wtedy targnął się na życie. Zerknął na nią, gdy w skupieniu prowadziła auto. Leo chciał oszczędzić jej szoku. I na pewno nie sądził, że to on go znajdzie. Liczył na starego kumpla Alana.

Rak.

Czyli Kate i groźba wisząca nad Tulloquay nie miały z tym nic wspólnego. To przyniosło mu pewną ulgę. Jednak powinien tu być. Zdobyć się na coś więcej niż jeden telefon na rok. Zmarnował tyle lat. Zresztą ojciec też.

Powiedziała, że patrząc na niego, widzi Leona. Naprawdę byli aż tak podobni? Czy na starość stanie się zgryźliwy i uparty, i tak bardzo schorowany, że sam skończy ze sobą? Poza pracą nie miał niczego, co mogłoby go przed tym powstrzymać. Ojciec z równą powagą traktował pracę. Zresztą Kate jest w tym względzie taka sama.

Znów popatrzył na nią. Gdy dopadła go słabość, spontanicznie okazała mu serce, wyciągnęła pomocną dłoń. Nie próbowała tego przekuć na swoją korzyść. Po prostu jest do bólu uczciwa i szlachetna. Dotarło do niego, że choć mają różne cele, w sensie ludzkim Kate cały czas go wspiera. Ojciec też się na niej poznał.

- Kate, dziękuję.

- Jak się czujesz? - Zerknęła na niego z troską.

- Przeżyję. - Wyczuł, że chciałaby o coś spytać. - Śmiało, odpowiem.

- W akcie zgonu tego nie napisali? Może go nie czytałeś?

Poczuł ucisk w piersi. Powiedzieć jej? Przyjaźniła się z Leonem. Powinna znać prawdę, a zarazem wolałby tej prawdy jej oszczędzić.

- Czytałem. - Prawda jej nie pomoże, tylko wręcz przeciwnie, zdecydował. - Cieszę się, że mi powiedziałaś. - Położył rękę na jej ramieniu. - Gdyby to się nie stało...

- Gdybym wiedziała, zrobiłabym to subtelniej, Grant - powiedziała cicho.

- To fatalny dla ciebie wieczór. Najpierw starcie z mafią rybaków, potem dramat ze mną, a teraz wyrzuty sumienia.

- Dla mnie to typowe. - Uśmiechnęła się mizernie. - Tylko w pracy sobie radzę, a poza tym same katastrofy. Dlatego rzadko wychodzę z domu w celach towarzyskich. - Skręciła z autostrady w stronę farmy.

- Dziwnie się czuję, jadąc tu po nocy - powiedział w zadumie. Dziwnie, a jednocześnie dobrze.

Oczami wyobraźni zobaczył, jak wracają wieczorem tą drogą. Są już siwymi starszuchami. Gawędzą o wydarzeniach w miasteczku i wnukach. Trzymają się za ręce. Podobnie ojciec musiał wyobrażać sobie przyszłość z żoną, którą tak wcześniej stracił.

A potem stracił jedyne go syna... Zatrzymali się przed domem, Kate wyłączyła silnik i popatrzyła na Granta.

- Co było powodem śmierci?

- Kate... - Ta jej intuicja i ciekawość.

- Automatycznie uznałam, że zmarł na raka, ale nie był w szpitalu, prawda? - Gdy tylko skinął głową, mówiła dalej: - Kiedy się z nim żegnałam przed wyjazdem, dobrze się trzymał. To było tydzień przed śmiercią. - Patrzyła na niego przenikliwie. - Grant, wiem, jakie to trudne dla ciebie, ale niewiedza nie da mi spokoju.

Wiedział, że Kate dręczy poczucie winy. Nie było jej tu, gdy Leo umierał. To samo dręczyło jego...

- Kate, to był rak.

- Kłamiesz... - Oczy napęły się jej łzami. - Stało mu się coś złego?

Wiedział, że musi wyznać prawdę, bo Kate bez końca będzie się zadrećcać. Zaklął w duchu, po czym spytał:

- Powiedz mi, czy czasem gubiło mu się jakieś zwierzę?

- Oczywiście. - Zamrugła zaskoczona. - To normalne na tak wielkiej farmie. Bardzo przeżywał, gdy po znalezieniu okazało się, że jest ranne, cierpiące. Trudno mu było się przemóc, żeby je dobić, lecz nie miał wyjścia.

- Nie mógł pogodzić się z cierpieniem, Kate. Cudzym... czy swoim.

Zmarszczyła czoło, czekała na ciąg dalszy. Cisza zaczęła się przeciągać. W końcu do niej dotarło.

- Mój Boże... - wyszeptała blada jak ściana. - Leo...

- Postąpił według własnej woli - powiedział cicho Grant.

Gdy poddała się łzom, Grant delikatnie objął dłonią jej kark. Opadła na jego ramiona, szukając w nim siły. Poczł słodki kobiecy zapach. Nawet jadąc do miasta, nie użyła perfum. Jej dotyk palił go przez ubranie.

Ale teraz nie myślał o sobie. Musiał ukoić ból Kate. Wsunął palce w jej włosy i przygarnął ją mocniej, szepcząc krzepiące słowa.

- To ja powinnam ciebie pocieszać - wykrztusiła.

- Dla mnie najważniejsze, że mam bratnią duszę. Że tak za nim rozpaczasz.

- Nie mogę się pogodzić z tym, że to zrobił, ale rozumiem go. - Czuła, jak Grant gładzi ją po włosach. - Był twardy, zawsze sam podejmowała decyzje. Gdyby słaby i bezbronny umierał w szpitalu... Nie, nie mógł do tego dopuścić. Więc podjął ostatnią decyzję, kiedy jeszcze mógł to zrobić. - Przerwała na moment. - Jak od nas odszedł?

- Kate... - Od nas... Jak dobrze to zabrzmiało w jej ustach.

- Był trudny w kontaktach. - Łzy znów popłynęły jej po policzkach. - A zarazem uroczy.

- Wiem - wyszeptał tuż przy jej włosach.

- Jakbym znowu straciła tatę...

Te słowa poruszyły go do głębi. Kate oddałaby wszystko, by wrócić życie ojcu, mieć własną farmę, owce, alpaki i... cholerne uchatki. On to wszystko odrzucił wiele lat temu, bo uznał za bezwartościowe.

- Urodziłem się w niewłaściwej rodzinie - mruknął jakby do siebie. Kate zacisnęła palce na jego swetrze, co w dziwny sposób dodało mu otuchy. - Ty zamieniłabyś się ze mną bez sekundy namysłu.

- Tak...

- Może bym został, gdybyś ty tu była. - Te słowa zaskoczyły nawet jego. Kate podniosła na niego zapłakane oczy, ale o nic nie pytała. - Gdybym miał kogoś bliskiego duchem, byłoby łatwiej. Nie czułbym się taki wyalienowany.

- Nie czułeś się tu u siebie? - Przesunęła dłonią po jego ramieniu.

- Nigdy. - Aż do teraz, dodał w duchu.

- Jakie to smutne. - Westchnęła. - Oboje tak wiele straciliśmy z życia.

Wiedział, że ma na myśli cierpienie, którego zaznała, lecz w tym półmroku, wdychając jej zapach, mógł myśleć tylko o tym, że nie można zmarnować już ani sekundy.

Przez te wszystkie dni myślał - a raczej starał się nie myśleć - o smaku jej ust. I reakcji Kate na pocałunek.

Nie odepchnęła go, gdy delikatnie pochylił do niej usta. Jej wargi były miękkie i słone od łez. Poddawała się pieszczocie. Zapach jego wody otulał ją, dotyk ust odurzał, palce Granta rozplątywały upięte włosy.

Cofnęła się, popatrzyła w płonące, zielone oczy. Grant leciutko przesunął kciukiem po jej policzku, otarł łzy z jej rzęs.

Znowu ją pocałował, a ona drżała w jego ramionach przejęta pragnieniem, żeby ta chwila trwała. Przyciągnął ją do siebie, prawie leżała na nim. Ujął ją pod brodę, żeby patrzyła na niego.

- Tak zawsze będę cię widzieć - wyszeptał, obsypując pocałunkami czoło, policzki i usta. - Szaloną i gorącą.

Zatracili się w pocałunkach. Grant odchylił fotel do tyłu, więc już prawie leżeli na tylnym siedzeniu. Krew szumiała w żyłach, emocje pulsowały.

Nagle samochód ruszył.

Kate krzyknęła, Grant nacisnął hamulec i błyskawicznie przesunął dźwignię zmiany biegów. Oddychając gwałtownie, uzmysłowiła sobie, że niechcący pchnęła ją i wrzuciła bieg.

Zapiekle ją policzki. Zachowali się jak para napalonych nastolatków. Przesiadła się na miejsce kierowcy, zacisnęła dłonie na kierownicy. Grant podniósł poparcie fotela.

Otworzyła okno i chłodne powietrze wpadło do środka. Co teraz? Jak wybrnąć z tej sytuacji? Może wyskoczyć i uciec? Albo obrócić ją w żart.

Albo zareagować szczerze:

- Jasna cholera.

Zdumienie na twarzy Granta świadczyło, że też był zaskoczony tym, co się stało. Powoli wypuścił powietrze. Kate sięgnęła do klamki.

- Odprowadzisz mnie? - Zakładając, że dam radę iść, dodała w duchu.

Jego seksowny uśmiech kusił, żeby znów opuścić fotel.

- Nie mam wyboru. To również moje drzwi.

- Dasz mi kilka minut? Chciałabym się jeszcze połudzić.

- Jasne. - Uśmiechnął się. - Mnie też przyda się kilka minut.

Zapatrzyła się na wejściowe drzwi oświetlone niewielką lampką.

- Nie zjedliśmy kolacji - powiedziała, poprawiając rękami włosy.

- Możemy wybrać się jutro.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie dzisiaj - odparł, poważniejąc. - Też chciałbym się połudzić.

Uśmiechnęła się blado i wysiadła. Grant odprowadził ją do drzwi, zatrzymał się i odgarnął jej z twarzy pasemko włosów.

- Dobranoc, Kate. Pierwszej części wieczoru bym nie powtórzył, ale ta ostatnia przeszła moje oczekiwania.

- Moje też. - Oblała się rumieńcem.

- Mogę pocałować cię na dobranoc?

To pytanie poruszyło ją do głębi. Po tym, co wyrabiali... Skinęła głową.

Powoli ujął jej twarz, przesunął się bliżej. Całował ją delikatnie, lecz drżenie warg zdradzało tłumioną namiętność.

Gdyby to był ich pierwszy raz, może by zemdląła, ale teraz pocałunek sprawił, że wszystko w niej śpiewało.

- Dobranoc - wyszeptała, gdy cofnął usta.

Przesunęła koniuszkiem języka po wargach.

- Idź, bo inaczej pójde z tobą.

Nie musiał powtarzać. Szybko otworzyła drzwi i zniknęła. Grant oparł się o balustradę werandy. Był rozpalony, poruszony, zdezorientowany.

Pośpiesznie przebrała się w piżamę i położyła do łóżka. Woląла nie ryzykować pójścia do łazienki, bo mogłaby wylądować w jego pokoju. Czeka ją gorące sny... I właśnie dlatego musi ograniczyć ich kontakty.

Gdyby ktoś powiedział, że ten wieczór skończy się namiętną sceną w samochodzie, skwitowałyby to śmiechem. Mogła fantazjować, lecz przez myśl jej nie przeszło, że coś takiego naprawdę się zdarzy. Ich układ to wykluczał.

Westchnęła głęboko.

Tak fatalnie wygadała się o chorobie Leona. Grant przeżył szok, oboje z trudem panowali nad emocjami. No i Grant tak bardzo na nią działał. Nie było więc szans, by oprzeć się pokusie. Erotyczna reakcja, nic więcej.

Musi trzymać się od niego z daleka. Mają sprzeczne interesy. Grant chce sprzedać farmę, zachować ją w całości, co nie posłuży uchatkom.

Z drugiej strony dał jej garaż, przyjął pod swój dach i przyszedł do pubu, by w razie problemów pośpieszyć z pomocą. Tak by nie zrobił, gdyby mu na niej nie zależało.

W ciszy usłyszała szczęknięcie otwieranych drzwi. Dotrzymał słowa i dał jej obiecany czas. Mogli udawać, że wieczór zakończył się jak zwyczajna randka.

A nie wielką, namiętą pomyłką.

TLR

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy miał dziewięć lat, wydawało się to znacznie łatwiejsze.

Z trudem przedzierał się przez zbite zarośla, barkami torując drogę przez poplątane gałęzie. Przez tych dwadzieścia pięć lat chaszcze się rozrosły, jednak mimo to nie zamierzał się poddać.

Gałąź uderzyła go w policzek, druga rozdarła T-shirt. Lepiej by mu się szło, gdyby był wypoczęty. Po wczorajszym wieczorze wszystko było trudniejsze.

Zatrzymał się. Czy warto się szarpać? Po raz trzeci zadawał sobie to pytanie. I wciąż odpowiedź była ta sama: musi się upewnić. Jeśli jego przeczucia się potwierdzą, wiele może się zmienić.

Źle postawił stopę i zsunął się ze dwa metry. Gęste krzaki spowalniały go, więc łagodnie wylądował w znajomym miejscu. Jego dawna ścieżka. Bardziej zapuszczona niż przed laty, lecz sobie poradzi. Dbał o formę, teraz to procentuje. Ostrożnie schodził po smaganym wiatrem klifie. Wyszukiwał przejścia pomiędzy głazami, spienione fale uderzały po butach. Po dwudziestu minutach był na miejscu. Wysoki klif osłaniał zatoczkę od oceanu i wiatru.

Nic dziwnego, że uchatki dobrze się tu czują.

Gdy był chłopcem, uwielbiał ten dziki, ukryty przez ludzkim okiem zakątek. Wymarzony na zakopanie skarbu czy spoczynek pirackich wraków. Zatoczka tonęła w cieniu potężnych wapiennych ścian. Grant wspiął się wyżej, a potem przycupnął za wielkim głazem. Musi zachować maksymalną ostrożność. Ostatnim razem ważący dwieście kilogramów samiec błyskawicznie rzucił się w jego stronę, rozjuszony pojawieniem się intruza. Mógł go zabić. Kto wie, co te zwierzęta sobie myślą?

Kate pewnie wie. Kate...

Wcześniej wymknął się z domu, by opóźnić nieuchronną rozmowę o wczorajszym wieczorze. Wolał wyjść na tchórza, niż stanąć twarzą w twarz z Kate. To prostsze niż zastanawianie się, jak ten pocałunek na niego podziałał. Jak zawładnął jego wyobraźnią.

Musi się otrząsnąć. Ma odpowiedzialną pracę, żyje w mieście. Choć praca tak go pochłania, że nie ma sił na nic więcej niż wieczór z książką.

Oczami wyobraźni ujrzał, jak Kate siedzi na rozłożystej kanapie i z zagryzionymi ustami wpatruje się w ekran laptopa. On w drugim kącie pochylony nad książką...

Odepchnął od siebie ten obraz.

Kate marzy o farmie, ma to we krwi. W przeciwieństwie do niego, choć niby też powinien mieć serce do gospodarstwa. Pod tym względem krańcowo się różnią. Poza tym nie nadaje się na męża, o czym przekonało się wiele kobiet. Dla niego istnieje tylko praca.

Zresztą ona nie szuka faceta. Wczoraj się zapomnieli, lecz zrobili to tylko pod wpływem chwili. Kate doskonale zdaje sobie sprawę z dzielących ich różnic. Jeśli chodzi o farmę i uchatki, stoją po przeciwnych stronach. W każdym razie ona tak myśli.

Kate nie ma pojęcia, czym są dla niego te zwierzęta. I czym były dla małego Granta. Ile dla niego znaczyły.

Co nie znaczy, że są ważniejsze niż utrzymanie Tulloquay w całości. Nadchodzi moment, gdy człowiek uzmysławia sobie, że nie można mieć wszystkiego. Że trzeba wybierać.

Wybrał farmę. Kate wybrała uchatki. I walczy o nie.

Konserwator przyrody interesuje się badaniami doktor Dickson i może przychylić się do jej wniosków. Sama przyznała, że poszłoby łatwiej, gdyby dodała coś na okrasę, na przykład lokalizację miejsca godów.

Wyrzał zza skały. Dwa samce i kilka mniejszych samic. Samce miały powierzchowne rany. Nic groźnego, sądząc po ich spokojnym zachowaniu. Jeden z nich wylegiwał się w pobliżu samic. Pan Uchatek Zwycięzca, pomyślał z uśmiechem. Natomiast Pan Uchatek Przegrany trzymał się dalej, czysta kwintesencja klęski i rezygnacji.

Grant westchnął. Sprawa jest oczywista. To tego miejsca daremnie szukała Kate. Znając je, bez trudu doprowadzi do ustanowienia strefy ochronnej. Nie może jej tego dać.

Co innego laboratorium, doraźna pomoc bez konsekwencji na przyszłość. Po prostu chciał jej ulżyć. Jednak gdy chodzi o dalsze istnienie farmy, musi działać racjonalnie, z myślą o ojcu. Musi znaleźć kogoś, kto pokocha ją tak samo jak Leo. Jednak by dobrze ją sprzedać, musi być w całości.

Wczorajszy incydent w pubie świadczy, że miejscowi wcale nie są za uchatkami. Pewnie tylko ojciec miał inne zdanie w tej kwestii.

To nie Kate i jej ekolodzy doprowadzili go do śmierci, lecz choroba, która przed laty zabrała mu żonę. Leo był twardym facetem, nie wyobrażał sobie, że stanie się słaby i bezbronny, jak wcześniej jego ukochana.

Miał tylko jedno wyjście. Zresztą dla mieszkającego samotnie siedemdziesięcioletka pewnie najlepsze...

Grant przymknął oczy. Wreszcie był gotów na wspomnienia, które dotąd dość skutecznie odpychał. Te wczesne lata, gdy Leo jeszcze w niego wierzył, nim Grant odkrył że uwielbiany ojciec nie jest bez skazy. Gdy żyła mama i szczęśliwi rodzice marzyli o pięknej przyszłości syna.

- Dobrze, wyjedź! - krzyczał Leo. - Nie przyłożyłem ręki do farmy, więc i bez ciebie będzie prosperować.

To był ten koszmary ostatni dzień, gdy zabrał swoje rzeczy i szykował się do odjazdu. Ojciec był w furii, choć w jego oczach widział bezbrzeżny ból.

- Gdybym przewidział, na kogo wyrośniesz, nie namawiałbym mamy, żeby tak o ciebie walczyć! Może do dziś by ze mną była.

Znów poczuł bolesne ukłucie w sercu.

Te gorzkie słowa na zawsze utkwily w jego podświadomości. Może mamę dałoby się wyleczyć? Może to ciąża osłabiła jej siły? Dorastając, wiele razy zadreślał się tymi pytaniami.

Jednak usłyszeć to z ust ojca... I to ostatnie zdanie:

- Nawet chwili bym się nie namyślał, gdybym mógł ciebie zamienić na nią.

Otworzył oczy, popatrzył na uchatki. Pragnienie ojca się spełniło. Już jest ze swoją ukochaną. Może z latami złagodniał, a nawet jeśli nie, to ma mnóstwo czasu, żeby się starać.

Spojrzał na otaczające go skały, czuł porywisty wiatr. I widok, i ten wiatr idealnie pasowały do jego ponurego nastroju. Wszystko się wali, a on postępuje bez sensu. Po co całował Kate?

Odwrócił się ku wodzie i naraz coś przyciągnęło jego uwagę. Jedna z samic miała krew na grzbiecie między łopatkami. Samce są brutalne, pamiętał to z dzieciństwa, jednak kilka metrów dalej leżał niewielki czarny przedmiot. Wyglądał solidnie, musiał sporo kosztować.

Wskaźnik głębokości. Widział, jak asystenci Kate mocowali to urządzenie. Możliwe, że zostało uszkodzone, jednak powinien je odzyskać. Taki wskaźnik jest wart dwadzieścia tysięcy, a Kate ponosi za niego odpowiedzialność.

Kupno nowego z pewnością przekracza jej możliwości.

Samce przekręcały się z boku na bok, szykowały się do drzemki. Może poczekać na sprzyjający moment albo przyjść tu później, nie mając gwarancji, że wskaźnik nie zostanie zepchnięty w głębinę. Zerknął na zegarek. Minie się z Kate, jednak ten przedmiot jest cenny. Dla niej.

Wspiał się wyżej, skąd miał dobry widok na zatoczkę. Przycupnął i czekał.

Nędzny tchórz! Przez całą noc obmyślała przemowę, a on zniknął bez słowa!

Wprawdzie nie stało się nic wielkiego, to tylko pocałunek, jednak gdyby nie przypadkowe ruszenie samochodu, to kto wie... Tym bardziej była na niego wściekła.

- Tchórz - wymamrotała, wkładając legginsy, a potem luźne robocze spodnie. Cała aż się gotowała. Nawet nie dał jej szansy się wypowiedzieć. Skutecznie ją do siebie zniechęcił. Co z tego, że zamierzała się zdystansować...

To, że akurat dzisiaj wyniósł się z domu, tylko pokazuje, jak bardzo jest pokręcony. Akurat dzisiaj!

Wciąż była poruszona samobójstwem Leona i wczorajszym pocałunkiem, a w dodatku dzisiaj kończy trzydziestkę.

Czekała w nadziei, że Grant się pojawi, lecz czas mijał. Zjadła śniadanie, ogarnęła kuchnię i załadowała rzeczy do samochodu. Musi jechać do uchatek. Spokojnych i całkowicie przewidywalnych stworzeń.

Cała kolonia Atlas była na miejscu. Z wyjątkiem Stelli, ale do tego już się przyzwyczaiła, choć zarazem martwiła się i o nią, i o kosztowne urządzenie. Może spoczywa na dnie oceanu. Albo w żołądku rekina.

Przyjechali współpracownicy.

- Cześć! Wszystkiego najlepszego, staruszko! - zawołał Artie.

- Dzięki. Jak miło, że przypomnisz mi mój dostojny wiek.

Roześmiany Arie podał jej zapakowaną w folię paczuszkę. Gdy ją otwierała, zaczął wygłaszać zabawną przemowę, a reszta pękała ze śmiechu.

Czekoladowe ciasto z czekoladową polewą. Była to specjalność jego mamy.

- Artie, dzięki! - Zdjęła rękawice, zdezynfekowała ręce i naląła z termosu gorącej kawy.

Ciasto zniknęło w mgnieniu oka. Było leciutkie, wilgotne i pyszne. Od razu poczuła się lepiej. Na chwilę nawet zapomniała o Grancie.

Uwijali się pośród polegających uchatek, gdy wielka fala uderzyła o brzeg i na skalną półkę wślizgnęła się srebrzystoszara uchatka.

- Stella! - Kate ściągnęła brudne rękawiczki, włożyła nowe i sięgnęła po apteczkę. - Jesteś ranna. Artie...

- Tak, wiem.

Wprawnie odizolowali Stellę od stada. Rana okazała się powierzchowna, wystarczył żel z antybiotykiem. Niestety kosztowny wskaźnik zniknął z grzbietu uchatki. Fatalnie. Nie dokończy badań, nie dostanie pieniędzy. Będzie musiała sprzedać mieszkanie, żeby pokryć koszt urządzenia. Po trzykroć fatalnie.

- Cześć!

- No nie... Akurat teraz - mruknęła tak cicho, że nikt nie usłyszał, po czym dodała niezbyt przyjaźnie: - Mam nadzieję, że przyszedłeś pomóc.

- Mogę pomóc, jeśli chcesz. - Powiedział to takim tonem, jakby coś miał w zanzardzu.

Cwaniak, pomyślała Kate, ale nie ze mną takie gierki. Puściła wściekłą Stellę, która natychmiast ześlizgnęła się do wody i zniknęła. Pewnie już nigdy jej nie zobaczę, pomyślała z żalem.

- Wiesz, jak możesz mi pomóc? - zapytała, wyładowując frustrację na Grancie. - Daj mi dokończyć te cholerne badania!

- Kate...

- Dzięki. - Zaczęła pakować apteczkę. - Sami damy sobie radę. Masz masę roboty z szykowaniem farmy na sprzedaż.

Tylko dwa miesiące! Wezbrała w niej panika. Nie zdąży, wciąż jest w lesie. Niepotrzebnie zaprzyjaźniła się z Grantem. Powinna być twardsza. Powinna bardziej naciskać na konserwatora. Może jeszcze nie jest za późno.

Jego urażona mina jeszcze bardziej ją rozeźliła. Uciekł z domu bez słowa!

- O co chodzi? - burknęła.

Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, potem rozbawienie.

- Wyglądasz dziwnie. - Patrzył na jej usta.

Dotknęła palcami warg i poczuła czekoladową polewę.

Niecierpliwym gestem otarła usta.

- Kate i czekoladowe ciasto nie idą w parze - rzucił Artie, mijając ich.

- Aha, ciasto. Coś świętujecie? - spytał zaniepokojony.

Myśli, że w naszych badaniach nastąpił przełom, stąd ten niepokój. To tylko pokazuje, na jak różnych znajdują się pozycjach.

- Urodziny.

- Czyje urodziny?

- Moje.

Grant ruszył za nią, ostrożnie omijając wylegające się uchatki.

- Masz urodziny?

- Muszę powtarzać dwa razy? - burknęła.

- Dlaczego wczoraj mi o tym nie wspomniałaś?

- Niby kiedy? - Wyprostowała się cała zjeżona i dodała już szeptem: - Gdy powiedziałam ci, że Leo miał raka? Czy kiedy mnie całowałeś?

- Zawsze w urodziny jesteś taka cięta?

- Nie, nie jestem. Prawdę mówiąc, nie obchodzę ich, od kiedy przestałam być dzieckiem.

- Dlaczego?

- Bo ciocia Nancy ich nie uznawała. - I sama przestała je odliczać po śmierci rodziców.

- W takim razie domyślam się, że twój nastrój ma coś wspólnego ze mną?

- To dlatego zarabiasz kupę kasy, McMurtrie - wyszydziła. - Cholerny cwaniak i manipulant. - Przykucnęła i spakowała następną próbkę.

- Rozumiem. Jesteś zła, bo nie było mnie rano.

Podniosła się i rozejrzała. Współpracownicy taktownie odeszli w drugi róg zatoczki.

- Myślałam, że mamy coś do obgadania - rzuciła gniewnie.

- Musiałem pilnie... - Nawet w jego uszach brzmiało to nieprzekonująco. - No dobrze. Powinniśmy porozmawiać.

- Dlaczego sądzisz, że nadal chcę?

- Bo jesteś naukowcem. Nie lubisz niedopowiedzeń.

- Tak uważasz?

- Kate, o co chodzi? - Zwęził oczy. - Przecież nie spaliśmy ze sobą.

Dostrzegła, że współpracownicy wspinają się na klif, żeby znaleźć się jeszcze dalej. Po prostu cudownie, pomyślała.

- Ja... - Przycisnęła dłoń do czoła, czując narastający ból. Popatrzyła na Granta ze znużeniem. - Nie spodziewałam się, że tak mnie potraktujesz.

- Kate, przepraszam - powiedział szczerze. - Wyszło głupio, ale chciałem dać ci trochę oddechu. Musiałem też... coś sprawdzić. - Widząc jej uniesioną brew, zreflektował się. - No dobrze, chciałem to sobie przemyśleć. To, co się wczoraj stało, nie było zaplanowane.

- Szukasz furtki?

- Nie potrzebuję żadnej furtki - rzekł stanowczo. - Kate, przecież nie mamy ze sobą żadnego układu.

To ją otrzeźwiło. Miał rację. Pocałunek nie był zapowiedzią dalszego ciągu. Zdziałała chemia. Przyczyna i skutek, jak w dobrze przygotowanym eksperymencie. W którym bardzo chętnie wzięła udział.

- Grant, to ja przepraszam. - Westchnęła głęboko. - Zachowuję się jak jędra, ale nie jestem w formie. Straciliśmy TDR, nie lubię urodzin i kiepsko spałam. Idź, zobaczymy się później.

- O tym mówisz?

Omam nie padła z wrażenia. Drżącymi palcami wzięła cenne urządzenie.

- O mój Boże. Gdzie...?

- Tutaj, jak schodziłem z góry.

- Tutaj? - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Leciutko odwrócił wzrok.

- Na skałach, gdzie ścieżka robi się szersza.

- Pokaż mi gdzie. - Sześciu naukowców nie zauważyło kosztownego urządzenia?

Dziwne...

Grant podszedł bliżej brzegu i wskazał nieokreślone miejsce.

- Gdzieś tutaj. Pewnie fala go wyrzuciła.

- Dziękuję. - Dławiło ją w środku, choć próbowała zachować spokój. - Uratowałeś moje mieszkanie.

- Cieszę się. Zobaczymy się na kolacji?

- Jasne.

- Zjemy coś dobrego z okazji twoich urodzin.

- Nie świętuję urodzin.

- W takim razie z okazji moich.

- Twoich? Kiedy je masz?

- Za parę miesięcy, ale skoro już nas tu nie będzie... - Za późno ugryzł się w język.

- Nie wiem, o której wrócę, bo po południu wybieram się na rejs.

- O której?

- Wiem tylko, że po południu.

- Też chciałbym popłynąć. - I dodał, uprzedzając jej protest: - Skoro będziesz szukać na moim terenie.

- Dobrze. Wyślę ci SMS-a, odbierzemy cię z mola w Tulloquay. To po drodze.

- No to do zobaczenia. - Ruszył ścieżką w górę.

Kate popatrzyła na wskazane przez niego miejsce. Fale przelewały się przez skały, tworząc małe granitowe laguny. Spojrzała na wskaźnik. Był zupełnie suchy, ani śladu krwi czy sierści. Jakby ktoś starannie go wyczyścił. Po co ktoś to zrobił? Spojrzała na ścieżkę. Grant już zniknął.

A jeśli to zrobił, to dlaczego kłamał?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Perkocząc, kuter posuwał się wzdłuż wybrzeża. Kate nie kryła rozczarowania. Z uwagą wpatrywała się w linię brzegową, porównując ją z mapą i nanosząc notatki. Kolejne miejsca odpadały. Były zbyt strome, zbyt skaliste. W jednym, które ewentualnie mogłoby wchodzić w grę, na piasku wylegiwały się dwie uchatki. Niestety samice. Kate zaczynała tracić nadzieję.

Grant przypatrywał się jej z ukosa. Denerwował się. Z jednej strony było mu żal Kate, z drugiej dręczyły go obawy. Owszem, Kate nie spostrzeże ukrytej zatoczki, lecz doświadczony szyper z pewnością ją wypatrzy.

John Pickering okazał się miłym facetem. Przyjaźnie gawędził z Kate i choć nie zamierzał wstąpić do Towarzystwa Ochrony Uchatek, z zainteresowaniem przyjmował teorię, że nie konkurują z ludźmi o ryby. Był gotów jej pomóc. Te jej wielkie pogodne oczy też zrobiły na nim wrażenie.

- Fatalnie. - Usiadła obok Granta.

- Myślisz, że od strony lądu łatwiej znajdziesz to miejsce? - podsunął, doskonale wiedząc, że nie ma szans, żeby w taki sposób znalazła zatoczkę.

- Nie wiem. Może szukamy na próżno? Samce zazwyczaj trzymają się blisko terytorium samic, ale wszystko jest możliwe.

Gdyby zaczęła szukać gdzieś dalej, zyskałby na czasie. Kate jest tak przygnębiona, że mógłby ją przekonać do tego pomysłu. Przesunęła dłonią po oczach i ten bezradny gest obudził w nim współczucie.

- Kate, dajmy na dzisiaj spokój.

Byli coraz bliżej. Cud, jeśli bystre oko Johna nie dostrzeże wąskiego wejścia. Pocięczał się, że o tej porze, gdy słońce było nisko, uchatki zwykle przebywały w wodzie. To jeszcze nie ta zatoczka...

- Nic. - Kate z rezygnacją odłożyła lornetkę. - John, chyba tracimy czas. Leo mówił, że o tej porze ławice ryb świetlikowych schodzą na dno. Uchatki mogą polować na dużej głębokości.

To znaczy, że nie będzie ich teraz na lądzie. Grant odetchnął.

- Słońce jeszcze nie zaszło - rzekł John. - Może jakieś będą. Zobaczymy.

Znów obserwowała brzeg przez lornetkę. Grant cały aż się spiął. Teraz to na pewno ta zatoczka... I nagle kuter zakołysał się gwałtownie. Kate straciła równowagę, lornetka potoczyła się po podłodze. Grant poderwał się i złapał Kate, nim wpadła do wody.

W jednej sekundzie ożyły wspomnienia pocałunku. Ich spojrzenia się spotkały, jednak Kate błyskawicznie się opanowała.

- Dzięki - mruknęła, umykając wzrokiem.

Pomyślał, że pewnie czuje to samo co on.

- Przepraszam, skarbie, że wam przeszkadzam - powiedział i rozbawiony, i podniekcytowany John - ale spójrz tam. - Wskazał łód.

- To wejście do zatoki? - Kate z napięciem wpatrywała się w wysokie skały.

- Tak. Dobrze zamaskowane. Nie wiedziałem o tej zatoczce, ale na tym akwenie nigdy nie łowię.

- Jak blisko możemy podejść? - Sięgnęła po lornetkę.

- Zobaczymy. - Skierował kuter w tamtą stronę.

Płynął powoli, uważnie przepatrując dno.

Cholera! - pomyślał spanikowany Grant. Zaraz będzie po wszystkim. Zaraz wpłyną do zatoczki pełnej roznamiętnionych uchatek.

Po co pozwolił jej zostać? Czemu dał się omotać tym jej oczom i idealistycznym marzeniom? A zarazem tak bardzo chce jej pomóc i zobaczyć uśmiech na jej twarzy. Tyle że musi myśleć o Tulloquay...

Wpatrywała się w brzeg, wiatr rozwiewał jej włosy.

Musi się otrząsnąć. Nie są sobie przeznaczeni, mają sprzeczne interesy. Jeden pocałunek tego nie zmienił.

Chciałby powiedzieć jej, że to tutaj, że w końcu znalazła miejsce, którego tak długo szukała. Powiedzieć i czekać, co z tego wyniknie. Chciał jej pomóc. Zaproponował

garaż i pokój, oddał TDR. Działał spontanicznie i bezsensownie, wyszukując beznadziejne usprawiedliwienia.

I tak jest za późno, myślał gorączkowo. Jeszcze zdążę sprzedać. Konserwator i tak zrobi swoje. Co za chaos!

Po prostu wystarczy powiedzieć, że to tu... I nagle wspomniał ojca, jego spracowane, sękatę rękę. Kochał tę ziemię. Dla niej żył.

Popatrzył na brzeg. Jeszcze moment...

John ostrożnie manewrował kutrem, cały czas wypatrując dno, wreszcie powiedział:

- Wybacz, ale bliżej nie podpłynę. Robi się za płytko, widzę podwodne skały.

Kate ruszyła na dziób, podniosła do oczu lornetkę. Byli na wprost miejsca, gdzie Grant znalazł wskaźnik. Poczul ucisk w piersi, wstrzymał oddech.

- Pusto! - zawołała rozczarowana Kate. - Ale to świetne miejsce, tylko pora nieodpowiednia. Z tej odległości nie mogę wypatrzyć śladów, czy się tu pojawiają. - Zaznaczyła na mapie zatoczkę. - W przyszłym tygodniu zejść z klifu, oczywiście przed południem, zanim uchatki ruszą na polowanie.

Wtedy będzie tu się kłębiło od samców i samic. Choć Kate nieprędko tu trafi. Ścieżka jest niewidoczna, a zejście karkołomne. Będzie szukać i błdzić, a testament się uprawomocni.

John jakby czytał w jego myślach, bo zagadnął:

- Podobno chcesz sprzedać Tulloquay?

- Czemu pytasz? Jesteś zainteresowany?

- Ja? - John roześmiał się. - Bez obaw. Najlepiej mi na morzu.

Kate usiadła. Grant zza ciemnych okularów obserwował jej żalną minę.

- Tak, zamierzam sprzedać farmę. Rozgłoś to po ludziach.

- Powinieneś wziąć dobrą cenę. Leo dobrze dbał o ziemię i zwierzęta. Mimo wszystko.

- Mimo wszystko? - zgodnym chórem zawołali Kate i Grant.

- Bardziej był rybakiem niż farmerem.

Grant roześmiał się. Jak sięgał pamięcią, tylko dwa razy łowili z ojcem ryby z mo-
la. To były jedne z najpiękniejszych wspomnień.

- Mój ojciec był farmerem.

- Tym się zajmował, ale nie takie było jego przeznaczenie. Niektórzy całe życie
robią coś, co jest sprzeczne z ich naturą.

- Był farmerem - z uporem powtórzył Grant.

- Pomyśl tylko. Przecież byłeś na pogrzebie - łagodnie powiedział John.

- O co chodzi?

- W szóstkę nieśliśmy jego trumnę.

- Tak... - To wtedy po raz pierwszy widział Johna.

- Kim byli ci inni? - spytała Kate.

- Same wilki morskie.

Grant pamiętał ogorzałych, spracowanych mężczyzn w garniturach z poprzedniej
epoki. Kate podsunęła się nieco. Ta bliskość była mu bardzo potrzebna.

- Obracał się w waszym towarzystwie. Co z tego?

- Był jednym z nas. Nieważne, co robił w dzień. My, rybacy, trzymamy się razem.
Jesteśmy lojalni względem siebie. Twój ojciec poświęcił życie, żebyś miał coś swojego,
kawałek ziemi, w której zapuścisz korzenie. A ty chcesz to rzucić, jakby siedemdziesiąt
lat harówki i nadziei nie miało żadnej wartości.

Cały aż się zjeżył. Czyżby Kate napuściła Johna, żeby mu to powiedział?

- Chcę sprzedać farmę komuś, kto należycie ją poprowadzi.

- Bez ciebie to już nie będzie Tulloquay, tylko zwykły kawałek ziemi.

- Jeden z najlepszych nadbrzeżnych terenów w Castleridge - odparł pochmurnie.

- Bez wartości, jeśli przestanie należeć do waszej rodziny. Władał nim twój pra-
dziadek, dziadek, potem Leo. Tulloquay to ty, a bez ciebie go nie ma.

Grant zacisnął pięści. Zapadła cisza, którą przerwała Kate:

- Może poszukajmy innego miejsca?

John posłał Grantowi przenikliwe spojrzenie spod krzaczastych brwi, po czym od-
wrócił się do steru.

Wszyscy uważają, że sprzedając Tulloquay, zdradzam swoją rodzinę, pomyślał Grant. A przecież chcę czegoś całkiem innego. Pragnę zachować ducha farmy, uszanować dziedzictwo.

Dlaczego ojciec całe życie poświęcił farmie, jeśli ciągnęło go na morze? Co powstrzymało go przed sprzedaniem Tulloquay i zrealizowaniem marzeń?

Nic. Czyli wcale tego nie chciał.

Miał przyjaciół rybaków, lecz to wszystko. On sam przyjaźni się z inżynierami, nie z prawnikami. Nie jest aż takie istotne, z kim w barze pija się piwo.

A może jednak?

Odepchnął od siebie te myśli. Jeden plus, że Kate zapomniała o tamtej zatoczce i skoncentrowała się na kolejnej, oddalonej o kilometr.

Przynajmniej płyną w dobrą stronę. Jeśli szczęście będzie mu sprzyjać, całkiem zapomni o tamtej. Jeśli...

TTLR

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Gotujesz?

Pochylona nad kuchenką Kate odwróciła się. W czterech garnkach kusząco bulgotało.

- Tak, ale słabo mi idzie.

- Pięknie pachnie. - Grant podniósł pokrywkę. - W dodatku to nie z puszki, więc już mnie masz.

- Sam nie gotujesz?

- Jem na mieście, czasem w pracy.

- Tak długo siedzisz w robocie?

- Zdarza się. Po piątej jest spokojniej, przez kilka godzin zrobię więcej niż przez cały dzień.

W laboratorium na uczelni było tak samo. Zamieszała w garnku, zmniejszyła gaz. Grant sięgnął po wiszący pod półką otwieracz, przypadkiem dotykając Kate. Boże, jak on na nią działa! I ten zapach...

- To miała być twoja urodzinowa kolacja. Nie ty miałaś ją szykować. - Zdjął z półki dwa kieliszki.

- Już mówiłam, że nie obchodzę urodzin. Niech to będzie moje podziękowanie za znalezienie TDR.

Znieruchomiał, zaraz jednak podszedł do stojaka z winem.

- Białe czy czerwone?

- Sam zdecyduj.

- Co mamy na kolację?

- Hm... Jak to nazwać? Już wiem! Wołowa niespodzianka.

Grant zachichotał i schylił się po czerwone wino. Kate wytarła ręce i odwróciła się do niego. Wołała sama kierować tą rozmową.

- Obiecałam, że przygotuję coś, gdy wczoraj wyciągałam cię z pubu.

Jaśniej nie można. Grant był pod wrażeniem. Tak, tak, nie, nie - oczywiste sformułowania.

Nalał wino, podał kieliszek, oparł się o blat.

- Nie musisz mi niczego wynagradzać. Nie mogłem się pozbierać i doceniam, że mnie stamtąd zabrałaś.

- Oboje byliśmy poruszeni. Za dużo na nas spadło. - Urwała. - Czy to dlatego...? - Nagle opuściła ją odwaga.

- Nie, Kate. - Wytrzymał jej spojrzenie. - Wiedziałem, co robię.

- Czyli to było celowe? - Gęste rzęsy przysłoniły zielone oczy. Ich odcień kojarzył się z zieloną wodą laguny, zakątkiem, gdzie tak bardzo lubiła rozmyślać. Dlatego czuła się tak błogo, kiedy na niego patrzyła? I jednocześnie nadzwyczaj niekomfortowo.

- Myślisz, że to stało się niechcący?

- Nie. - Poczula jeszcze silniejsze emocje. - Ale zastanawiam się... bo byłeś zdenerwowany...

- Pocałowałem cię, bo byłem w szoku z powodu ojca?

No właśnie. Drżącymi palcami zakręciła kieliszkiem. Spojrzała na nieprzenikniętą twarz Granta. Jak może być taki opanowany?

Zrobił krok w jej stronę.

- Przez cały dzień wmawiałem sobie, że tak właśnie było. Byliśmy zdenerwowani i poruszeni, szukaliśmy pociechy. - Zatrzymał się przed nią. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. - Dlatego oddałaś pocałunek? Bo przeżyłaś szok z powodu Leona?

- Posłuchaj... - Mogła uchwycić się tego tłumaczenia, lecz to byłoby kłamstwo.

Grant jakby czytał w jej myślach, bo powiedział to, co sama by powiedziała:

- Pocałowałem cię, bo byliśmy sami, w samochodzie, i czułem tylko twój zapach.

Serce zabiło jej mocniej, jednak opanowała emocje i rzuciła ze śmiechem:

- Mam nadzieję, że był lepszy niż ten od uchatek. - Widziała jego zielone oczy i czekała na odpowiedź.

- Nieporównywalnie lepszy.

- Co z tym zrobimy, Grant? - spytała cicho.

- Moglibyśmy tutaj dokończyć to, co zaczęliśmy... - Kusząco poklepał ręką w drewniany blat.

Podniecenie mieszało się z gniewem. Otworzyła usta, żeby powiedzieć, co myśli o tej propozycji. Ich relacje są wyłącznie oficjalne. W każdym razie takie powinny być.

- Kate, wyluzuj. Żartowałem. - Sięgnął po wino. - Nie masz twarzy pokerzysty.

- Uważasz, że to zabawne?

- Nie. - Spoważniał. - Ale byłaś tak spięta, że musiałem cię rozluźnić.

- Powtórzę pytanie. Co z tym zrobimy?

- A co ty chciałabyś z tym zrobić? - spytał, patrząc na nią w zadumie.

Podeszła do stołu, usiadła, tak było łatwiej. Grant usiadł na wprost niej.

- Nic - odpowiedziała. - To się nie może powtórzyć.

- Takie pocałunki nie zdarzają się codziennie - rzekł z naciskiem.

- Chcesz powiedzieć, że ty...? - Dławiło ją w piersiach.

- To, czego chcemy, a to, co robimy, to dwie różne rzeczy. Ja tylko odgrywam adwokata diabła, żebyśmy z różnych stron ocenili sytuację.

- Rozważając wszystkie okoliczności?

- W tym się specjalizuję, Kate.

Nie tylko w tym jesteś specjalistą, pomyślała. Również w całowaniu.

- Dobrze, niech będzie. To był dobry pocałunek, przyznaję. - Widząc jego minę, poprawiła się: - Bardzo dobry. Ale co z tego?

- Musimy wziąć to pod uwagę.

- Jak dane w badaniu naukowym?

Gdy Grant wybuchnął śmiechem, poczuła gorący dreszcz.

- Jeśli nie chcesz uwzględnić romantyzmu, to tak.

Zręcznie ukrywa swoje uczucia, pomyślała. Co w tym romantycznego?

- Wydawało mi się, że mówimy o pociągu fizycznym, nie o romantyzmie - skwitowała.

- To zabrzmiało jak wypowiedź naukowca. Mówiliśmy o pocałunku. - Pochylił się ku niej. - Ale skoro o tym wspomniałaś, to czemu nie? Pogadajmy o pociągu fizycznym.

Otworzyła furtkę, którą teraz niełatwo będzie zamknąć, gdyż atmosfera gwałtownie zgęstniała.

- Pożądanie. - Wyprostowała się, choć wcale nie czuła się taka pewna siebie. - Z naukowego punktu widzenia to banalna sprawa. Chodzi o nasze feromony, o naturalną reakcję receptorów.

- Tak mówisz? - spytał ze zwodniczym uśmiechem. - Jakiś naukowiec pogłówkował trochę i już wszystko jasne i oczywiste?

Wzruszyła ramionami. Nawet dla niej, naukowca z krwi i kości, wcale nie brzmiało to przekonująco.

- Banalizujesz - szła w zaparte. - A nauka nie jest banalna. Chodzi o to, że czuję wpływ norepinepheryny.

- To znaczy? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Jakie są naukowo stwierdzone objawy zastosowania tej... norepinepheryny?

Starła się zachować niewzruszoną twarz, gdy recytowała:

- Dłonie się pocą. Serce przyśpiesza. Suchość w gardle. Zaburzone myślenie.

- Naprawdę? - Patrzył na nią przenikliwie. - Tak na ciebie działałam?

- Hm... - Brakowało jej powietrza. - Rozmawiamy teoretycznie.

Grant roześmiał się gromko, po czym upił porządny łyk. Kate nie mogła oderwać oczu od śladu wina na jego pełnych wargach.

- Żyjesz w strasznym sterylnym świecie, doktor Dickson - oznajmił.

- Warto wiedzieć o tych rzeczach - broniła się - patrzeć na nie z dystansu.

- Bo jak nie, to co? Pytam serio. Co takiego złego może się stać?

- Możemy je źle zinterpretować. Dokonać niewłaściwego wyboru. - Jeśli zauważył użytą przez nią liczbę mnogą, pominął to milczeniem.

- Niektóre rzeczy są poza naszą kontrolą. Gdzie jest powiedziane, że nie możemy cieszyć się sobą, póki chwila trwa?

Cieszyć się chwilą, powtórzyła w myślach. To znaczy, że poważny układ nie wchodzi w grę?

- Można wiele stracić - stwierdziła cicho.

- To prawda. - odparł z powagą. - Dużą szkodę już wyrządziliśmy?

- Nic takiego, czego się nie da naprawić.

- To dobrze. - Pomyślał jednak, że jest kłamczuchą. - Nie chciałbym jeszcze bardziej utrudniać ci życia.

- Mnie? A co z tobą?

- Akurat sobą się nie przejmuję. - Wzruszył ramionami. - Przeżyję.

Owszem, przeżyje, pomyślała. Czowała też, że Grant naprawdę nie przejmuje się sobą. Mogłaby to zostawić, tak nakazywał zdrowy rozsądek, jednak coś ją podkusiło, żeby dążyć dalej. Cóż, była naukowcem.

- Czy dajesz do zrozumienia, że się o mnie jednak martwisz?

Nie odpowiedział od razu, co w jego przypadku nie było częste.

- Nie chcę, żebyś poczuła się skrzywdzona - oznajmił wreszcie.

- Dlaczego?

- Bo sobie na to nie zasłużyłaś.

- Grant, jesteśmy przyjaciółmi?

- Ty i mój ojciec byliście zaprzyjaźnieni - zboczył nieco z tematu, bo pytanie go zaskoczyło. - Bardziej niż przypuszczałem.

- Z twoim ojcem ani razu nie zjadłam kolacji - naciskała. - Nigdy nie nocowałam w jego domu.

- Domyślam się, że też nie całowałaś się z nim w samochodzie. - Skutecznie ją uciszył. Oblała się rumieńcem. - Nasza relacja jest zupełnie inna niż twoja z moim ojcem.

- Skąd możesz wiedzieć? - prowokowała.

- Wiem.

- Niby jakim cudem? Nie rozmawialiście ze sobą. A co, jeśli wpadliśmy sobie w oko? Powiesz, że różnica wieku? To się zdarza.

- Nie pleć bzdur. - Skrzywił się lekko. - Ojciec do śmierci kochał moją matkę. Ta miłość nie miała kresu.

- Od kiedy owdowiał, minęło wiele lat.

- Na tym polega tragedia.

- Nigdy bym nie pomyślała, że wierzysz w prawdziwą miłość.

- Może byłoby dla mnie lepiej, gdybym jej nigdy nie poznał. Przez to trudniej nie zauważyć jej braku.

Pod tym względem ich poglądy idealnie się pokrywały.

- Miłość jest przereklamowana. - Zaśmiała się z przymusem. - Nie ocaliła naszych rodziców.

Ani ich dzieci, pomyśleli oboje.

- Na to wygląda. Jednak nie rozmawialiśmy o miłości, lecz o tym, skąd wiem, że nigdy nie popijałaś wina z moim ojcem. - Gdy zakołysał kieliszkiem, rubinowe refleksy odbiły się w oczach Kate. - Trochę już cię poznałem i wiem, jaka jesteś.

- Więc jaka jest Kate Dickson? No mów. - próbowała ukryć zaciekawienia.

Odchylił głowę, przyglądając się jej badawczo, jakby dopiero teraz próbował ubrać swe spostrzeżenia w słowa, aż wreszcie powiedział:

- Jesteś bezpośrednia. Lojalna. Zafascynowana tym, co dla ciebie istotne. Łatwo cię rozszyfrować. Lubisz, żeby wszystko było zaplanowane i uporządkowane.

- Aha... - Była zaskoczona, że trafił w dziesiątkę.

- Jesteś zupełnie inna, niż się spodziewałem - dodał na koniec.

- A czego się spodziewałeś?

- Osoby twardej i bezwzględnej. Kogoś bez serca.

- Grant... - Poczula dławienie w gardle. - Kogoś takiego, jak ludzie, z którymi zwykle masz do czynienia?

- Dobrze to ujęłaś. Często nie wiem, co tobą porządzić, Kate. - Umknął wzrokiem. - Ani jak się zachowywać.

- Bądź taki jak teraz. - Rozbroił ją tym szczerym wyznaniem. - Niezależnie od okoliczności. Wolę grać w otwarte karty, niż gubić się w domysłach.

- To się nie uda, Kate. Jesteśmy po dwóch stronach barykady.

- To jeszcze niczego nie przesądza. Możemy być ze sobą szczerzy - dokończyła ciszej.

- W życiu tak się nie zdarza. - Pokręcił głową. - Chyba że jako strategia.

- Grant, nie zamierzam się w to bawić. Strategia, przewidywanie kolejnych ruchów przeciwnika, zwody i podchody... - Westchnęła ciężko. - Nie znam, nie umiem, to dla

mnie obcy świat. Poza tym za dużo mam na głowie, a zegar tyka nieubłaganie. Powiem szczerze, że presja czasu mnie dobija. Zrobisz, jak zechcesz, lecz ja wolę stawiać sprawy jasno. - Dopięła wino. - A skoro tak... - Popatrzyła na twarz Granta. - Opowiedz mi o wskaźniku.

- Słucham... słucham? - Kompletnie go zaskoczyła.

- Przejrzałam zapisane dane. Są bardzo dziwne.

- To znaczy?

- Bardzo nietypowe. A najdziwniejsze jest to, że od wczesnych godzin porannych urządzenie nie było pod wodą, sensory nie wykryły śladów wilgoci - dokończyła znacząco.

Oboje wiedzieli, że wskazane przez Granta miejsce było zalewane wodą.

- Co sugerujesz? - zapytał cierpko.

- Niczego nie sugeruję, staram się tylko zinterpretować zapis. Wszystko wskazuje, że wskaźnik nie został wyrzucony przez fale w Zatoce Dave'a.

- To pewnie jakiś błąd.

- Urządzenie za dwadzieścia tysięcy nie podaje błędnych zapisów.

Grant wstał, by dolać sobie wina, po czym powiedział:

- Kate, uważaj. Bo zacznę myśleć, że zarzucasz mi kłamstwo.

- Nie interesuje mnie, czy mnie okłamałeś, czy nie. - Wytrzymała jego spojrzenie. - Interesują mnie twoje motywy.

- Domyślam się - rzucił ostrym tonem - że masz już swoją hipotezę.

- Owszem. Odzyskanie wskaźnika nie przyspieszy naszych prac, choć w sensie finansowym jest wybawieniem. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję.

- Bardzo proszę - skwitował z sarkazmem.

Nie dała się zwieść, tylko drażyła dalej:

- Myślę, że nie powiedziałaś mi wszystkiego, bo jest coś, co chcesz przede mną ukryć. Coś naprawdę ważnego. - Zadumała się na moment. - Coś, co może przeszkodzić w sprzedaży farmy. - Gdy Grant uparcie milczał, nagle ją olśniło. - Nie chodzi o to, jak go znalazłeś. Chodzi o miejsce! - Grant wytrzymał jej wzrok, lecz Kate coś zauważyła. - Rumienisz się...

- Bo działasz na mnie. Też reaguję na norepinepherinę. - Pochylił się ku Kate. - Jesteś bardzo seksowna, kiedy tak głośno myślisz.

- Próbujesz mnie zbić z tropu. - Starła się trzymać, choć nie było to łatwe. - Chcesz mnie rozproszyć.

Popatrzył na nią przeciągle.

- Jeśli zacznę to robić, nie będziesz mieć wątpliwości.

Czuła, że teraz i ona się rumieni. Zaciśnęła zęby. Ten moment może być kluczowy dla ich wzajemnych stosunków. Oby tylko była to zmiana na lepsze.

Grant podszedł jeszcze bliżej. Zielone oczy lśniły.

- Podpuść mnie, żebym to zrobił. - Zanurzył dłoń w jej włosach.

Poczuła mrowienie w całym ciele. I błysk intuicji, która jeszcze nigdy jej nie zawiodła.

- O mój Boże...

Grant leciutko pchnął ją na lodówkę.

- Masz źrenice wielkie jak spodki. Szkoda, że tego nie widzisz.

- Znalazłeś miejsce godów - wyszeptała, gdy pochylił ku niej głowę. - Prawda? - Poczuła, że brakuje jej powietrza. Wiedziała, że odkryła prawdę, lecz potrzebowała potwierdzenia. - Tak czy nie? - Jego odpowiedź zawyrokuje o jej karierze.

Przepełniona oczekiwaniem drżała z napięcia i podniecenia.

Oparł ramię o lodówkę, pochylił się jeszcze bliżej. Czas zatrzymał się w miejscu... A potem Grant przycisnął usta do ucha Kate i wyszeptał:

- Tak, znalazłem.

Nogi się pod nią ugięły, na szczęście Grant ją podtrzymał. Objęła go, szukając wsparcia. Wszystko, nad czym pracowała i o czym marzyła, wreszcie stawało się rzeczywistością. Czuła ciepło jego ust, ciepło jego ciała.

- Gdybym wiedział, że tak zareagujesz, od razu bym ci powiedział - wyszeptał.

- Nie, na pewno nie. - Wciąż była jak odurzona, jednak myślała przytomnie. - Chciałeś to zachować dla siebie, jak długo się da. - Cichy śmiech Granta uwodził i oszalał, jednak oswobodziła się z jego ramion. - Mówisz serio? Naprawdę znalazłeś to miejsce?

- Tak - przyznał ponownie, tym razem wiedząc, co to dla niego oznacza.

- Kiedy tam pójdziemy? - spytała z ekscytacją.

- Muszę się zastanowić.

- Nad czym? - Poczowała się jak uderzona obuchem. - Naprawdę chcesz zachować tę wiedzę dla siebie? Powiedziałeś, że wiesz, ale ja mam się nie dowiedzieć? - Nakręcała się coraz bardziej. - To jak umierającemu z głodu pokazać przez szybę frykasy! - zakończyła kwiecistą frazą.

- Kate, uspokój się. Nie jestem draniem. Oddałem ci wskaźnik, choć gdybym tego nie zrobił, o niczym byś nie wiedziała.

Cóż, taka była prawda. Mógł rzucić go do morza i nie pisnąć choćby słówka.

- Więc dlaczego go oddałeś?

- Bo jest ci potrzebny.

- Miejsce godów jeszcze bardziej.

- Wiem, ale to dwie różne sprawy. Oddałem ci twoją własność, to naturalne i oczywiste, natomiast miejsce godów...

- Grant!

- Muszę to sobie przemyśleć. Zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz.

- Nie musisz sprzedawać farmy. Po prostu chcesz to zrobić.

- Ty też nie musisz znać tego miejsca. Po prostu chcesz. Twoje badania nijak nie ucierpią.

- To nie to samo.

- Absolutnie to samo.

Zapatrzyła się w dal. Czowała, że uchodzi z niej para, ogarnia ją dojmujące poczucie rozczarowania. Sobą. Nim. Obudził w niej nadzieję i zaraz potem ją rozwiął. Igra z jej przyszłością. Choć nie. Dla niego to nie jest zabawa.

Dla niego to biznes. Coś, w czym ona kompletnie się gubi.

- Nie możemy oboje mieć tego, czego chcemy, prawda?

- Niestety na to wygląda. - Popatrzył na nią chłodno.

No tak. Dlaczego się łudziła, że może być inaczej? Bo nagle na swej drodze spotkała kogoś, kto obudził w niej życie? Bo zaczęła dopuszczać do głosu uczucia? Zapomniała, że nie wolno jej tego robić.

Los bezlitośnie odbierał jej tych, na których jej zależało.

Może powinna się cieszyć, że opamiętanie przyszło teraz. Lepiej wcześniej niż później. Zanim oddała serce komuś, kto na to nie zasługuje.

- Straciłam chęć na jedzenie - powiedziała z wymuszonym spokojem. - Smacznego. - Ruszyła do swojego pokoju. Będzie się trzymać, w razie gdyby za nią zawołał.

Niepotrzebnie. A przecież gdyby powiedział: „Kate, nie odchodź. Jestem bałwanem”.

Zadowolił się czymś prostszym, bardziej brutalnym. Wyszeptał tylko:

- Miłych urodzin, Kate.

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Opadła na stary kręcony fotel Leona. Dziwne, ale lepiej czuła się w laboratorium niż w domu z Grantem, jakby tu była otoczona przez przyjaciół, a nie przez wrogów. Pokręciła głową. Co za wariackie myśli.

To presja czasu tak na nią działa.

Zakręciła się, potem jeszcze raz. Tak lepiej się jej myślało. Dziś niedziela, lecz nie ma mowy o odpoczynku. Powinna zabrać się do próbek i zapisów wskaźnika. Problem w tym, że zupełnie nie miała na to ochoty.

Wszystko przez Granta. To przez niego kolejną noc miała z głowy. Wpadała w euforię na myśl, że odkrył to tajemnicze miejsce, przypominała sobie tchnienie jego oddechu, jak szeptał jej o tym do ucha. Nie czuła się wtedy zagrożona. Przeciwnie, wyrwała się do niego.

Czy powiedziałby jej, gdyby tak nie naciskała? Ukryłby to przed nią? Jest taki?

Gdyby kosztowne urządzenie monitorowało również pozycję, nie tylko czas i głębokość! Może wtedy dałoby się coś ustalić.

Powiedział, że z jej twarzy wszystko łatwo wyczytać. Za to on ma twarz pokerzysty. Wczoraj na kutrze nawet nie mrugnął, a może przepływali obok tego miejsca... Znów wszystko wymyka się jej z rąk. Na tyle spraw nie ma wpływu. Jak wtedy, gdy była dwunastoletnią dziewczynką.

Sięgnęła po mapę wybrzeża. Wczoraj zaznaczyła sześć miejsc dogodnych dla uchatek. Tylko żadnej tam nie zobaczyła. Bez Granta może bardzo długo szukać. Kilka miesięcy temu wcale by się nie przejmowała. Jako badaczka przyrody musiała nauczyć się cnoty cierpliwości. Jednak sytuacja diametralnie się zmieniła. Czas mija nieubłaganie. Został tylko niecały miesiąc.

Może uda się wynegocjować coś z nowymi właścicielami? Jest taka możliwość, aczkolwiek trudno wiązać z nią wielkie nadzieje. Czy będą bardziej nastawieni na ochronę natury niż Grant? Poszczyściło się jej z Leonem. Traf chciał, że zjawiała się w odpowiednim momencie. Leo rozważał życiowe decyzje, a ona mimowolnie poruszyła w nim czułą strunę.

Wiedział wszystko o żyjących tu rybach. Wtedy nie dziwiła jej jego wiedza, dopiero z perspektywy czasu zrozumiała, że była wyjątkowa jak na farmera. Może Leo rzeczywiście marzył o tym, by zostać rybakiem, jak twierdził John, i uznał jej badania za ostatnią okazję, żeby przysłużyć się temu, co najbardziej go pociągało? To bardzo prawdopodobne. Grant uważał ojca za świetnego farmera, jednak rzeczywistość była inna. Leo wypasał owce na jałowych terenach, nie obsadzał ziemi roślinami, które obniżały zasolenie gleby. Gdy dowiedział się o chorobie, zaczął redukować stado i coraz mniej zajmował się farmą.

Za to coraz dłużej siedział na wysokim brzegu i patrzył na morze.

- Och, Leo! - zawołała z bólem, myśląc o tym, że nigdy nie poszedł za swoim marzeniem.

- Kate?

Odwróciła się. Ten głos był tak bardzo podobny do głosu Leona. Słysząc w nim ten sam fatalistyczny smutek. Grant, stojąc w drzwiach, popatrzył na nią przenikliwie.

- Tak?

- Chodź. - Mówił z ociąganiem i z rezygnacją. - Chcę ci coś pokazać.

Poczuła skurcz w żołądku. Pokaże jej tajemne miejsce! Jak na skrzydłach wybiegła na zalane słońcem podwórze. Już niedługo zobaczy zakątek, którego tak bezskutecznie szukała. I może - no, trzeba tu dodać wielki znak zapytania - ten facet, którego uznała za niereformowalnego, wreszcie zachowa się jak należy.

Jechali wzdłuż brzegu skrajem ewentualnej strefy ochronnej. Grant opowiadał o dzieciństwie, przywoływał obraz farmy z tamtych lat, snuł beztrioskie wspomnienia. Nie mogła już dłużej się na niego gniewać. Był tak blisko, tak szczerze o sobie mówił.

- Dla chłopca to było bajkowe życie - mówił wzruszony. - Dzika natura, przestrzeń, przygoda.

- Niebezpieczeństwa?

- No jasne. A jeśli akurat nie było, to sam je prowokowałem.

- Szkoda, że nie miałeś rodzeństwa, miałbyś się z kim bawić.

- Mama zachorowała, nim zaczęli starać się o drugie dziecko.

- Ile miałeś lat, gdy umarła?

- Trzy.

- Mój Boże... Tak mi przykro.

- Gdyby żyła, byłoby inaczej.

- To znaczy?

- Może miałbym rodzeństwo. No i miałbym matkę, kiedy tak bardzo jej potrzebo-
wałem. Tata byłby inny, nie skupiłby się tylko na mnie i na farmie. A w razie czego ma-
ma byłaby buforem między mną a nim. Byłoby lepiej, ale musisz wiedzieć, że choć pół-
sierota, to miałem dobre dzieciństwo.

- Ale nie aż tak dobre, żebyś został?

- Chciałem czegoś więcej. Żeby nie tylko farma mnie określała.

- Myślisz, że Leo tak widział siebie?

- Oczywiście. Farma była dla niego całym światem.

- A jeśli nie?

- Co chcesz powiedzieć?

- Tylko pytam. Jeśli naprawdę marzył o pracy na morzu? O tym, by robić to, co
kocha?

Zahamował, obrócił się do Kate i dodał cicho:

- Łowić ryby? - W zielonych oczach malował się ból.

- Tak mi się zdaje, Grant.

- Czemu się tym nie zajął, kiedy wyjechałem?

- Nie wiem, nie było mnie tutaj. A ty co myślisz?

- Myślę... - oczy mu pociemniały - że byłoby ci bardzo na rękę, gdybym zarzucił
pomysł sprzedania Tulloquay.

Czyli nadal uważa, że ona gra tą kartą. Że jest sprytną cwaniarą.

- Owszem, to by mi bardzo ułatwiło pracę - powiedziała bez tchu. - Podobnie jak
inne rzeczy, których nie robiłam.

- Na przykład?

- Na przykład mogłam poprosić konserwatora przyrody o nadanie sprawie przy-
śpieszonego trybu. Jest taka ścieżka prawna, wymiata wszystkich, którzy próbują spo-
walniać proces. Mogłam też poinformować go, że prawdopodobnie znaleźliśmy miejsce

godów, a także zaapelować o wstrzymanie sprzedaży do czasu wygaśnięcia umowy ze zmarłym właścicielem. Gdy chodzi o ratowanie środowiska naturalnego i cennych ekosystemów, to stosowana praktyka. - Widziała pulsowanie drobnego mięśnia na jego twarzy. - Myślałeś, że nie wiem o takich możliwościach? - zapytała, lecz Grant milczał. - Nie kombinuję, nie wypowiedziałam ci wojny, bo to nie w moim stylu, a ja nigdy nie postępuję wbrew sobie, nawet gdy mam w tym interes. Nie jestem taka jak ludzie, wśród których się obracasz.

- Nie chcesz strefy ochronnej? - spytał ze zdumieniem.

- Mój Boże, chcę, i to bardzo! Ale by to osiągnąć, nie będę grać nieczysto.

- Wykorzystywanie możliwości nie jest nieczystą grą.

- Może w twoim świecie. Ja wolę bardziej staroświeckie metody. - Popatrzyła na niego i policzki ją zapiekły. - Nie, nie to miałam na myśli... Chodzi mi o szczerą negocjację.

- Wydaje ci się, że znajdziemy kompromis?

- To wielka niewiadoma, Grant. Bardzo bym się ucieszyła, gdyby tak się stało, ale na pewno nie zrobię nic, by zmusić cię do zgody wbrew twojej woli.

- Ale chcesz mi pokazać, że postępuję błędnie? Chcesz dać mi lekcję staroświeckich manier?

- Naprawdę nie zrozumiałeś? Pragnę, byś z własnej woli postąpił jak należy.

- A jeśli to wbrew moim interesom?

- Długo o tym myślałam, Grant, zadawałam sobie to samo pytanie. I znam już odpowiedź.

- Tak? - ponaglił ją.

- Jeśli uznasz, że to wbrew twoim interesom, po prostu tego nie rób.

- Naprawdę? W twoim interesie jest inne rozwiązanie. Masz bardzo prosty sposób, by mnie zmusić, bym postąpił zgodnie z twoją wolą. Zadzwoń do burmistrza. Masz w nim sprzymierzeńca, a on ma tutaj tak wielką władzę i takie wpływy, że od razu polegnę.

- Stracisz możliwość wyboru - szepnęła jakby do siebie. - Nadal nic nie rozumiesz. Nie jestem taka. Straciłam wszystko, gdy los odebrał mi możliwość wyboru. Nie zrobię komuś czegoś takiego.

- Porównujesz to ze stratą rodziców? - spytał z niedowierzaniem.

- Grant... - Urwała na moment, bo dławiło ją w gardle. - Gdyby to dla ciebie nie było ważne, nie walczyłbyś z taką determinacją. Nie muszę popierać twoich celów, by to rozpoznać i uszanować.

Zapadła cisza, wreszcie Grant powiedział cicho:

- Jesteś zaskakującą istotą, Kate.

- Wiem. Ale wolę wierzyć, że takich jak ja jest więcej niż... - Nie dokończyła.

- Niż takich jak ja? To chciałaś powiedzieć?

- Nie. Więcej niż takich kobiet, za jaką mnie uważasz.

Przez długą chwilę mierzył ją wzrokiem, wreszcie ruszył w stronę wybrzeża. Jechali czas jakiś w milczeniu. Nie miała pojęcia, gdzie się znajdują. Była tak pochłonięta obecnością Granta, że nie zwracała uwagi na otoczenie. Spalona słońcem ziemia ciągnęła się w dal.

Grant zatrzymał samochód i odwrócił się do Kate, której serce zabiło żywiej.

- Dlaczego nie jedziemy dalej? - spytała.

- Muszę ci coś powiedzieć, Kate.

- Tak...?

- Ufam ci. - Gdy tylko wlepiała w niego oczy, dodał: - Dotarło do mnie, że ufam ci już od dawna. Mogłem sobie wmawiać co innego, ale taka jest prawda. Inaczej wczoraj nie powiedziałbym ci o tym miejscu, niezależnie od okoliczności. - Widział, że Kate wciąż nie może wydusić z siebie słowa. Milczeli więc przez dłuższą chwilę, aż wreszcie Grant wyznał: - Mam już szczerze dość faceta, którym się stałem. A stałem się czarnym charakterem. Przez kilkanaście lat zmagalem się ze świadomością, że zawiodłem ojca. Potem byłem niewdzięcznikiem, który wyrzekł się rodzinnego dziedzictwa, a przez ostatnie lata jestem przekleństwem dla tych, którzy próbują wymigać się ze zobowiązań. Nie chcę dołożyć do tego zniszczenia twojej kariery. - Widziała po jego minie, że nie jest mu łatwo. - Dlatego oddaję ci władzę. To ty podejmij decyzję.

- Mam zdecydować?! - Poczowała gulę w gardle. - Dlaczego sądzisz, że nie wybiorę uchatka?

- Jesteś naukowcem. Oceniasz obiektywnie, bierzesz pod uwagę za i przeciw. Dopiero wtedy wybierasz optymalne rozwiązanie.

- Umywasz ręce? Uciekasz? Grant, nie możesz tak po prostu zrejterować. Chciałam...

- Co?

- Chciałam dać ci szansę, żebyś dokonał właściwego wyboru.

- Chciałaś sprawdzić, czy to mi się uda? Już za długo rozczarowuję innych ludzi.

Sama ma zdecydować. Od tego zależy ich dalsze życie. Jedno z nich straci. Chciała mieć kontrolę, lecz...

- Może to wcale nie jest to miejsce. - Tyle czasu marzyła, żeby je odnaleźć, a teraz tak mówi? Co za ironia losu.

Grant otworzył drzwi, odpiął pas.

- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić - powiedział, patrząc na Kate.

Podeksytowana do granic możliwości szła uczepona ramienia Granta. Nikt by nie pomyślał, że ta drobna kobieta uwieszona na wielkim facecie to doktor Dickson szefowa dużego programu badawczego.

To było jednak nieistotne, bo w głowie dudniło jej jedno: To ostatnia część układanki, ukoronowanie badań. Znów wezmę sprawy w swoje ręce.

No, może tak się stanie, w zależności od tego, co zdecyduję.

Droga była koszmarna. Przedzierali się przez zbitą masę gęstej roślinności, potem urwistą ścieżynką w dół smaganego wiatrem klifu. Grant ostrożnie sprowadzał ją po stromiźnie. Gdy wreszcie znaleźli się na dole, serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Zarazem cieszyła się, że w takiej chwili ktoś jest przy niej. Nie ktoś, tylko Grant. Przy nim życie nabiera barw, pomyślała...

I zaraz spochmurniała, bo nie rokowało to dobrze.

Pociąga ją fizycznie, lecz to nie wszystko. Z każdym dniem coraz bardziej się jej podoba, coraz więcej w nim widzi głębi, mądrości... I jest taki przystojny! Szedł przed nią, pewnie wybierał drogę przez poszarpane skały. Te szerokie bary, wąska talia, muskularne nogi...

Gdy westchnęła cicho, Grant odwrócił się i przyłożył palec do ust. Odepchnęła od siebie natrętne myśli.

Gdy obeszli wapienną skałę, stanęła jak wryta. Byli na miejscu. Poczowała gwałtowny przypływ adrenaliny. Popatrzyła na skalną półkę obmywaną przez wodę. Cztery samce i jedenaście samic wylegiwało się na skale. Z tej odległości nie mogła stwierdzić, czy są z jej kolonii.

Zza wielkiego głazu obserwowali zwierzęta. Dwa samce walczyły dla zabawy. Kate usadowiła się wygodniej i nie odrywała oczu od uchatk.

- Teraz jest więcej samców niż ostatnio - wyszeptał Grant, bo głośne rozmowy ze względu na uchatki były zabronione.

- Jak szejka i jego harem. - Wskazała największego samca, który czujnie rozglądał się po terenie. - Mniejsze walczą o resztki z pańskiego stołu, innymi słowy korzystają z nieuwagi władcy, gdy goni za samicą.

- Nie brzmi to najlepiej - rzucił Grant.

- Tak już jest. Ale my też nie dokonujemy najlepszych wyborów, gdy hormony buzuja.

- Zdarza się - powiedział cicho.

Wielki samiec ruszył w stronę niedużej uchatki. Ogromne cielsko poruszało się po ostrych skałach z zaskakującą szybkością i zręcznością. Jeszcze chwila, a dopadł uciekającą samicę, przydusił ją i wsunął się na jej grzbiet, niemal ją zakrywając.

Kate odwróciła wzrok. W ciszy słychać było pomruki i rozpaczliwe piski.

Grant przysunął się do Kate i spytał dziwnym tonem:

- Po tych nieprzyjemnych rutynowych zajęciach właśnie to cię bierze?

Skrzywiła się. Odgłosy kojarzyły się z bólem i przerażeniem, choć jako naukowiec wiedziała, że tak nie jest. Pozostałe uchatki były rozluźnione. Jednak w głębi duszy...

- To mogła być samica z mojej kolonii. Przykro patrzeć, jak brutalnie została potraktowana.

- Czy to jest zgodne z naturą?

- Niestety tak.

- Jak długo to potrwa?

- Niedługo. - Ledwie skończyła mówić, samiec ześlizgnął się z samicy, która wydając głośnie jęki, uciekła w najdalszy koniec zatoczki.

Kate serce ścisnęło się z żalu.

- Trochę kiepsko się teraz czuję, że jestem facetem - skomentował Grant.

Musiała roześmiać się przez łzy, a wtedy kilka uchatek zwróciło brązowe pyski w ich stronę, w tym wielki samiec, Grant przyciągnął Kate do siebie. Leżeli nieruchomo schowani za głazem i czekali, aż uwagę uchatek przyciągnie coś innego.

Kate przymknęła oczy. Otaczał ją zapach Granta, czy sty i męski. Jakże inny od odoru unoszącego się wokół uchatek! Przycisnęła twarz do jego ramienia. Jest przeciwieństwem tego wielkiego, dzikiego samca. W miłosnym uniesieniu byłby czuły, łagodny, wspaniałomyślny i opiekuńczy.

Cóż, nam nie jest to pisane, pomyślała ze smutkiem. Kilka pocałunków nic wielkiego nie działo. Ich relacje są mniej więcej takie, jak dwa miesiące temu.

- Przepraszam. - Przyłożyła zimne palce do rozpalonych policzków. - To było bardzo nieprofesjonalne.

- Kate Dickson, orędowniczka uchatek - powiedział z uśmiechem.

Zapatrzyła się na młodą samicę, po czym oznajmiła:

- Gdybym była matką naturą, sporo bym zmieniła.

- Jeszcze chcesz popatrzeć? - spytał Grant, wciąż przypatrujący się uchatkom.

- Nie, wystarczy. Nie ma wątpliwości, że to ich miejsce godowe.

- I co teraz? - spytał, wbijając w nią twarde spojrzenie.

- Grant... - Wytrzymała jego wzrok. - Nie sprzedawaj farmy. Proszę.

- Kate, omówiliśmy już... - Był rozczarowany jej postawą. - Przyjęliśmy zasadę, że...

- Ja ją poprowadzę - przerwała mu desperacko. - Będzie przynosiła zyski.

- Co z niej zostanie, jeśli wydzieli strefę buforową? Powodzenia - rzucił ironicznie.

- Coś wymyślę. - Była gotowa błagać, byle tylko doszli do porozumienia. Żeby nie musiała wybierać.

- Co wymyślisz, Kate? A jak już wymyślisz, to za co zrealizujesz swoje pomysły?

Ten rozsądny ton ją dobijał. Jest taka żalosna, że nawet się na nią nie gniewa?

- Początki nie będą łatwe, lecz jeśli zaczniemy mieć zyski...
- Kate, nie możesz być naukowcem i farmerem jednocześnie.
- Dlaczego?
- Bo nie jesteś nadczłowiekiem.

To ją ostudziło. Po co zabijać się prowadzeniem farmy, jeśli nie będzie w stanie prowadzić badań?

- Masz rację.
- Zawiadomisz konserwatora przyrody? - spytał w napięciu.

Wtedy klamka zapadnie. Farma zostanie okrojona, nie uda się znaleźć dobrego kupca. Co najwyżej Grant podzieli ziemię na działki dla hobbystów.

Przypomniała sobie, co czuła, gdy jej rodzinna farma przeszła w obce ręce.

- Nie. - Stłumiła ból w sercu. - Nie zawiadomię.
- A co z uchatkami? - Nie odrywał od niej oczu.
- Moje badania nadal będą istotne - powiedziała zgaszona. - Może następny właściciel da szansę uchatkom.

- Naprawdę nic nie możemy zrobić?

- Możemy. Zachowaj farmę.

- Nie mogę - rzekł z irytacją. - To nie moje życie. Nie jestem farmerem.

- Możesz się nauczyć.

- Mam pracę w mieście. Dobrze płatną i odpowiedzialną.

- Świetnie sobie radzisz przez internet. - Wiedziała, że ani razu nie wyjechał z farmy do miasta.

- Kate, jestem starszym wspólnikiem.

- Kupili też twoją duszę?

- Nie znam się na farmie! - Spłoszone krzykiem uchatki smyrnęły do wody, łącznie z groźnym samcem. - Nie znam się i nie chcę się znać. Nigdy mnie to nie interesowało. - Zwiesił ramiona, zacisnął pięści. - Nie jestem farmerem.

- A co cię interesuje? Prawo?

Długo zwlekał z odpowiedzią, wreszcie powiedział:

- Jestem prawnikiem, Kate. Z tego żyję.

- Ale?

- Ale mam nadzieję, że dla mnie to nie wszystko.

- No dobrze. Wyobraź sobie, że skończyłeś z pracą, sprzedałeś swoje udziały w firmie i pieniądze nie grają roli. Co byś zrobił?

- Nie mam pojęcia. Pochłania mnie praca w firmie. Ciężko harowałem, żeby dojść do takiej pozycji.

- Zapytam inaczej. - Zastanowiła się. - Jakie pisma czytasz?

- Czuję się jak na kozetce u psychologa - skomentował kpiąco.

- Chyba czytasz coś więcej niż umowy?

- Kupuję całą masę różnych pism.

- Czego dotyczą?

- Inżynierii lądowej. Budownictwa. Architektury.

- Dlaczego akurat tego?

- To chyba oczywiste - rzucił niecierpliwie. - Bo mnie to ciekawi. Moja praca polega na destrukcji, wyszukiwaniu słabych stron w kontraktach, dlatego tym bardziej pociąga mnie tworzenie, wnoszenie czegoś, co będzie trwało.

Co będzie trwało, powtórzyła w myślach. Jak rodzinne dziedzictwo.

- W takim razie zbuduj coś. Nie przejmuj się, że nie jesteś farmerem.

- Mówisz o rozbudowie Tulloquay? Ty?

- Mówię o wzmocnieniu Tulloquay. Maksymalnym wykorzystaniu potencjału. Zbuduj centrum środowiskowe. Szkołę. Muzeum.

- Tulloquay zawsze było farmą.

- Dlaczego tak bardzo jesteś zapatrzony w przeszłość? Grant, zmodyfikuj działalność. Nie musisz hodować owiec tylko dlatego, że twój ojciec to robił. W starych obozach kiedyś trzymano bydło. - Prawdę mówiąc, dla krów ten teren też niezbyt się nadawał. Spalony słońcem i smagany...

- Wiatr! - zawołała, łapiąc zdumionego Granta za rękę.

- Zbuduj farmę wiatrową! To ekologiczne zbawienie. Tak, farma wiatrowa! - ekscytowała się.

- Wyglądam na hippisa? - rzucił drwiąco.

- Tak nas oceniasz? Mnie i mój zespół? Okej, wolno ci - rzuciła pogodnie, nie zamierzała się obrażać. - Ale jestem pewna, że ktoś, kto interesuje się inżynierią, rozumie znaczenie alternatywnych źródeł energii. I tutejszy potencjał.

- To kosztowna sprawa - powiedział cicho, wyraźnie już coś obliczając.

- Z pewnością, ale też bardzo lukratywna. Burmistrz padnie z wrażenia. Pierwsze miasto w stanie zasilane energią wiatrową. Na pewno cię poprze, znajdą się fundusze. Konserwator przyrody też temu przykłaśnie, nakaże tylko zachować przybrzeżną strefę ochronną.

Oczy mu się zapaliły. Popatrzył na wysoki brzeg, gdzie wciąż wiały wiatry.

- Nie. - Nagle jakby uszła z niego para. - Tulloquay to owce. Tak widział to ojciec.

I tak powinno zostać.

- A jeśli nowy właściciel za pięć lat postawi fabrykę?

- Wykluczone. Zastrzegę to w umowie.

- Kto się na to zgodzi? Równie dobrze możesz zastrzec strefę ochronną.

- Ojciec całe życie poświęcił dla farmy. Nie mogę zmarnować jego pracy.

- Leo był gotów zgodzić się na strefę buforową.

- Nie. Musiał mieć jakiś plan. - Ruszył w drogę powrotną.

- Grant, Leo umierał. Może chciał zrobić coś w swoim życiu, zanim będzie za późno?

- Miał swoje życie! - wykrzyczał przez ramię. - Był farmerem!

I ojcem, choć w tej roli też nie za bardzo się sprawdził. Serce jej się ścisnęło.

- John twierdził, że marzył o pracy na morzu. Może prowadził farmę tylko dlatego, że się do tego poczuwał?

Grant odwrócił się, a ona wpadła na jego muskularny tors.

- Kate, przestań. Dobrze wiem, do czego zmierzasz.

- Do czego? - zaperzyła się.

- Chcesz zasiać we mnie wątpliwości. Przekonać do swych racji.

- Jedyne, do czego chcę cię przekonać, to żebyś wyzwolił się z tej głupiej obsesji o przeznaczeniu Tulloquay i racjonalnie ocenił sytu... - Za późno ugryzła się w język.

- Głupiej obsesji? - Obrzucił ją mroźnym spojrzeniem.

- Grant, wybacz, nie to chciałam...

- Niepotrzebnie cię tu przywoziłem - rzucił wściekle, ruszając w górę klifu.

Nie mogła dotrzymać mu kroku. Mozolnie wspinała się w milczeniu, z trudem łapiąc powietrze. Odezwała się, dopiero gdy dotarła na górę.

- Grant, mówiłam serio. Do niczego cię nie przymuszam. Chciałam ci tylko pokazać, że są różne wyjścia.

Odwrócił się do niej, gdy doszli do samochodu, i wycedził:

- Po tym, co powiedziałaś, mam wierzyć, że nie wykorzystasz tej informacji?

- Nie wykorzystam. - Bała się, że jeśli spojrzy mu w oczy, przejrzy jej uczucia.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć?

- Czy odkąd mnie znasz, choć raz zachowałam się jak ci, z którymi negocjujesz?

- Nie śpieszyłaś się, działałaś powoli i planowo. Zyskałaś poplecznika w burmi-strzu. Zjednałaś sobie ojca.

- To mi nie spadło z nieba. Ciężko na to zapracowałam. Ciężko i uczciwie.

- Jeśli jesteś taka uczciwa, to daj mi słowo. - Widział, jak zamarła. - Jeśli nie zamierzasz iść do konserwatora, daj słowo, skoro chcesz, żebym ci uwierzył.

- Testujesz mnie, jak wcześniej testowałeś ojca? - wypaliła. - A jeśli nic nie powiem, zdam twój test lojalności?

- Jak mam to rozumieć? - Oczy błyszczały mu złością.

- Wyjechałeś z farmy, mając szesnaście lat. Jak długo czekałeś, by ojciec zaczął cię błagać, żebyś wrócił do domu? Bardzo byłeś zawiedziony, że nigdy tego nie zrobił?

- Kate, zostawmy to.

- Dlaczego? - Było jej już wszystko jedno. - Mam wybrać albo ciebie, albo mój zespół. Siebie. Uchatki. - Na samą myśl o tym robiło jej się słabo. - Co mam do stracenia?

- Laboratorium? Dach nad głową?

- Zabierz to sobie. To nic w porównaniu z... - W porę się opamiętała.

- W porównaniu z czym?

- Z twoją opinią o mnie. - Woląla poprzestać na półprawdzie.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne? - spytał po długiej chwili milczenia.

Na pewno mu nie powie. Nie po tym, co zaszło. Dlatego choć znów nie skłamała, to najważniejsze zataiła:

- Bo jestem dobrym człowiekiem. Chciałam znaleźć takie rozwiązanie, żeby żadne z nas nie straciło wszystkiego. Ale ty traktujesz mnie jak cwaniarę z wielkiej korporacji, która próbuje wyrwać ci majątek.

- Nie mówimy o tym, czy jesteś dobrym, czy złym człowiekiem.

- Coś ci powiem. Masz wyrzuty sumienia w związku z Leonem. Nie układało się wam. Wybrałeś sobie zawód, w którym realizuje się twoja wrodzona podejrzliwość. Ja tylko proszę, żebyś mi ufał. Wierzył we mnie... - Głos się jej załamał.

Zaczęła wsiadać, żeby Grant nie spostrzegł jej łez.

- Kate... - odezwał się cicho.

- Odwieź mnie do domu.

Przez trzydzieści bolesnych sekund siedział nieruchomo pogrążony w myślach, wreszcie powiedział:

- Piękna przemowa, przyznaję, ale czegoś w niej zabrakło.

- Czego? - zapytała ze znużeniem.

- Nie dałaś mi słowa.

Poczuła, jak otwiera się pod nią czarna, przeraźliwa pustka. Jak serce Granta. Była bliska tego, by puścić wiązkę soczystych przekleństw. On nic nie rozumiał. Nie wierzy w jej szczerłość i prawość. W jej zasady moralne.

Był przekonany, że jest zdolna oszukać kogoś, kogo... kogo kocha.

Bo tak się stało. Zrozumiała to, gdy z twarzą wtuloną w ramię Granta wdychała jego zapach. Jak na ironię zakochała się bez sensu i beznadziejnie. Dlaczego właśnie on obudził do życia jej serce? I po co?

- Masz na to moje słowo - powiedziała z trudem, bo dławilo ją w gardle. - Nie powiadomię konserwatora. Nie przeszkodzę w sprzedaży farmy. Wszystko zgodnie z twoim życzeniem. - Choć nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby w końcowym sprawozdaniu nie znalazło się to odkrycie. Może to jedyna szansa dla niej i uchatek.

Oczywiście nie zostanie pod dachem Granta, skoro ma o niej tak złe zdanie. Prześpi się w samochodzie. Jej czas niedługo się skończy. Resztę próbek przebadaj na uczelni. Im prędzej się wyniesie, tym lepiej.

Zapatrzyła w krajobraz za oknem. Gniewnym gestem otarła łzę łamiącą jej twarde postanowienie. Już dość się napłakała z powodu Leona i jego syna.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Atmosfera w miejskim ratuszu była podobna do tej, która panowała w korporacyjnych biurach. Innymi słowy, było tu sztywno i oficjalnie. Grant bezwiednie postukał nogą w wyłożoną płytkami posadzkę, ale zaraz przestał, bo siedząca w recepcji urzędniczka po raz trzeci popatrzyła na niego karcąco.

Po chwili otworzyły się drzwi i na korytarz wyszła kobieta w średnim wieku. Trzymała w rękach plik dokumentów. Wyraźnie cieszyła się, że rozmowę miała za sobą. Ulga malująca się na jej twarzy uświadomiła mu, że większość śmiertelników denerwuje się w takich sytuacjach. Tak jak Kate, kiedy po raz pierwszy się spotkali. Nerwy ją zjadały, choć starała się trzymać.

Od tylu lat działał w cudzym imieniu, że już zapomniał, jak to jest, gdy człowiek ma coś do stracenia.

- Pan burmistrz na pana czeka.

Spróbowałby nie mieć dla mnie czasu, pomyślał. I oby przekazał mi dobre wieści. Posłał recepcjonistce wystudiowany uśmiech i wszedł do gabinetu.

- Grant, miło cię widzieć. - Alan wyszedł zza biurka i wyciągnął rękę na powitanie, a drugą położył Grantowi na ramieniu. Jego ciepły stosunek do ludzi z pewnością pomagał mu w sprawowaniu urzędu. - Już miałem do ciebie zadzwonić albo wpaść, zobaczyć, jak ci leci.

Grant usiadł w wygodnym fotelu i popatrzył na stojący za biurkiem tron burmistrza. To jedyne odpowiednie określenie dla jarmarcznie zdobionego mebla. Skojarzył mu się z dziełem sztuki, które stworzył w trzeciej klasie z pomalowanych złotą farbą

makaronowych rurek. Ojciec jeszcze długo trzymał je na lodówce. Granta uderzyło, że to wspomnienie dziwnie nie pasuje do innych, związanych z ojcem.

- Nic szczególnego się nie dzieje.

- A założenie laboratorium?

- Nic tu się nie ukryje.

- Masz rację, wiem o wszystkim. - Alan był na luzie i uśmiechał się szeroko, lecz Grant wiedział, w czym rzecz. Tak naprawdę non stop był skupiony i czujny, bo inaczej długo by się nie utrzymał na stanowisku. I z całą pewnością miał siatkę informatorów. - Cieszę się, że zacząłeś współpracować z Kate, nie torpedujesz jej prac.

- To nie współpraca, tylko pragmatyczne posunięcie.

- Dlatego w pubie stanąłeś w jej obronie?

- Kiedy się o tym dowiedziałeś?

- Nim skończyliście kolację. - Alan roześmiał się. - Słyszałem, że sprawy wymknęły się spod kontroli. Dobrze, że pośpieszyłeś z odsieczą. Mogłoby się dla niej źle skończyć.

- Kate świetnie sama by sobie poradziła. - Teraz to Grant się uśmiechnął. - Jest twarda i wojownicza.

- To tylko maska, tak naprawdę wcale taka nie jest. - Burmistrz zamilkł na moment, po czym zaczął z innej beczki: - Co zamierzasz zrobić z Tulloquay?

- Sprzedaję farmę.

- Komu? - Alan wbił w niego wzrok.

- Każdemu, kto zobowiąże się poprowadzić ją jak należy.

- Tak... - Burmistrz miał nieprzeniknioną twarz. - To nie będzie łatwe, gdy wprowadzą strefę buforową.

- Nie dojdzie do tego.

- Mówisz, jakbyś był tego pewny.

- Bo jestem. - Przecież Kate dała mu słowo.

- W takim razie po co przyszedłeś?

- Jesteś wykonawcą testamentu. Chciałem prosić, żebyś zawczasu dał mi znać, kiedy się uprawomocni. Zakładam, że od kiedy złożysz podpis, miną dwa dni. Zdam się przygotować.

- Cóż, jesteś jedynym spadkobiercą, więc możesz o to prosić. Choć nie zyskasz dużo czasu.

- Wystarczy. Mając akt własności, mogę podpisać umowę sprzedaży.

- Jak rozumiem, zamierzasz wcześniej wystawić farmę na sprzedaż.

- Już to zrobiłem. - Odwiedził agenta nieruchomości, tak na wszelki wypadek, gdyby Kate jednak nie dotrzymała słowa. Gdyby okazała się nie taka, jak sobie wmawiał.

- A te dwa dni?

- W sam raz na sfinalizowanie wszystkich dokumentów.

- Choć jestem, to nie powinienem być zaskoczony. - Alan spochmurniał.

- Czym?

- Twoim pośpiechem. Cóż, rozumiem. Jak najszybciej chcesz pozbyć się ziemi, której nienawidzisz.

- To nie tak. - Tam się urodził. Tam zmarła mama. Tam się wychował. - Gdybym nienawidził Tulloquay postawiłbym fabrykę pestycydów. - O czymś podobnym wspomniała Kate. - Zależy mi na istnieniu farmy. Farmy hodowlanej - dodał z naciskiem.

- A nie jakiej? - spytał rozbawiony Alan.

- Kate ma wariacki pomysł na farmę wiatrową. - Grant lekceważąco machnął rękę.
- Las turbin wzdłuż całego wybrzeża.

- Naprawdę? - Alan wyprostował się raptownie.

- Spokojnie, burmistrzu. - Grant miał już serdecznie dość tych fantastycznych wizji. - Nic z tego nie będzie. Ani strefy ochronnej, ani turbin.

- Dlaczego nie? To wspaniała perspektywa i świetne wykorzystanie marnego terenu. Na takie inwestycje znajdą się fundusze. Czysta energia, odnowa roślinności...

Czy tylko mnie zależy na zachowaniu farmy w nienaruszonym stanie? - pomyślał Grant, mówiąc przy tym:

- Ojciec nie po to urobił sobie ręce, żeby na jego ziemi zamiast owiec rosły turbiny.

- Grant, kiedy stąd wyjechałeś, byłeś młodym chłopakiem - w zadumie powiedział Alan. - Przez lata nie miałeś z ojcem kontaktu. Skąd wiesz, na czym mu zależało? Prawie go nie znałeś.

Zacisnął palce na fotelu. Następny kumpel, który zacznie opowiadać mu o ojcu.

- Mam wystarczającą wiedzę. Tutaj pożegnał się z moją matką. Próbował wychować mnie na swoje podobieństwo i nie mógł sobie darować, że nic mu z tego nie wyszło.

- Z trudem przełknął ślinę. - Co powiedział, gdy wyjeżdżałem.

- Był zły - rzekł Alan.

- Bo nie spełniłem jego oczekiwań. Złościło go wszystko, co wiązało się ze mną. Że musiał mnie wychowywać, że nie miałem smykałki do gospodarstwa, nie interesowała mnie farma. A potem wyjechałem.

- Musiało minąć dużo czasu, nim pogodził się z tym, co zrobiłeś - łagodnie powiedział burmistrz. - Sam nigdy się na to nie odważył.

- To znaczy?

- Miałeś tyle odwagi i wiary w siebie, że odrzuciłeś to, czego nie chciałeś, synu.

- Chcesz powiedzieć, że on...? - Poczul ciarki na plecach.

- Nie wiesz? - Alan sposepniał jeszcze bardziej. - No tak, nie wiesz...

- Wiem, że miał raka.

- Tak, miał...

Grant nie chciał ciągnąć tego tematu, spytał więc:

- Czego jeszcze nie wiem?

- Dla nikogo z nas nie było tajemnicą, że Leo czuje się skrzywdzony przez życie - powiedział Alan, starannie dobierając słowa. - Stracił żonę, potem ciebie.

- Jeśli to go obchodziło, to nie kiwnął palcem, żeby coś z tym zrobić - odparł zaczepnie Grant, czując zarazem bolesny skurcz w żołądku. „Jak długo czekałeś, by ojciec zaczął cię błagać, żebyś wrócił do domu?”. Zepchnął to w podświadomość, tak naprawdę nie zdawał sobie z tego sprawy, a Kate od razu dotarła do sedna. Mijały dni, tygodnie, potem miesiące, lecz ojciec nie wyciągnął do niego ręki. Nie zadzwonił, nie poprosił, żeby wrócił do domu. Nigdy tego nie zrobił. Syn nic dla niego nie znaczył.

- Wiem, jak było, Grant. Proszę, wysłuchaj mnie i zastanów się nad tym. Leo nie zamierzał zmuszać cię do życia, jakiego nie chciałeś i jakiego sam nie chciał. I znalazł się w pułapce, bo nie mógł się pogodzić, że ty zdobyłeś się na krok, na który jemu nie starczyło odwagi.

Czy to możliwe? - dopytywał się w duchu Grant, mówiąc przy tym:

- Ojciec chciał być rybakiem.

- Jak widać - Alan uśmiechnął się z goryczą - znałeś go lepiej, niż sądziłem.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego się nie zdecydował.

- Bo jego ojciec wychował go na farmera. Tego po nim oczekiwał.

- Tak... - Słowa burmistrza były trudne do zniesienia, bo niosły ze sobą gorzką prawdę.

- Leo nigdy nie przeciwstawił się ojcu, a gdy nadszedł czas, przyjął na barki cały balast rodzinnego dziedzictwa - ciągnął Alan. - Potem gryzł się tym aż do śmierci. Obwiniał się za to, że zabrakło mu odwagi, by zgodnie z marzeniami pokierować swoim życiem. A potem ty, ledwie odrosłeś od ziemi, zdobyłeś się na to, o czym Leo przez całe życie marzył.

Grant wreszcie mógł odetchnąć z ulgą. Ojciec nie chciał być farmerem, więc nie przekazał tego w dziedzictwie. Za to przekazał marzenia, choć zabrakło mu odwagi, by pójść za nimi. Za to dokonał tego jego syn.

- Nie był na mnie zły?

- Nie, Grant, nie był. - Alan uśmiechnął się lekko.

- Był zły na siebie, a kiedy wreszcie doszedł ze sobą do ładu, było za późno, żeby naprawić szkody. Stracił ciebie.

- No tak... - Grant przymknął oczy w zadumie.

- Bardzo się cieszył, że wybrałeś swoją drogę. To było dla niego najważniejsze. Oczywiście też cieszył się, że odniosłeś sukces.

- Dlaczego sam tego nie zrobił? Nie rzucił farmy i nie został rybakiem?

- Bo jego ojciec przez całe życie budował Tulloquay. Leo uważał, że nie może zostawić dziedzictwa przodków. - Oczy mu złagodniały. - Coś ci to przypomina?

Grant był głęboko poruszony. Ojciec zmarł, podziwiając go za odwagę w dążeniu do celu. Nie nienawidził go. Kochał.

- Alan, wyjaśnij mi coś. Skoro ojciec chciał, by ustanowiono strefę buforową, dlaczego nie wspomniał o tym w testamencie? To by wszystkim oszczędziło niepotrzebnych problemów.

- Dobrze, że o to pytasz. Próbowałem go do tego przekonać, jednak Leo nie chciał ci niczego narzucać. Tak jak wcześniej pozwolił ci odejść, a nie zmuszał do życia, którego nie chciałeś. Gdyby zostawił instrukcje, czułbyś się zobowiązany.

Nie zawiodłem ojca, pomyślał Grant. Miał pretensje do siebie, nie do mnie.

Lecz było to gorzkie pocieszenie. Ogarnął go wielki smutek. Stracili tyle czasu. Przepelniły go tłumione przez lata emocje, odżyły ból, żal i cierpienie.

- Muszę... - Urwał gwałtownie. Tak wiele musi na nowo przemyśleć, tyle jest nieporozumień i niedopowiedzeń, które trzeba przesiać, jak Kate przesiewa rybie szczątki. Mimowolnie przywołał jej obraz. Popatrzył na Alana, który czekał cierpliwie. - Muszę zobaczyć się z Kate.

- Wybierasz się gdzieś?

Masywna sylwetka Granta przesłaniała wejście do laboratorium, czy raczej byłego laboratorium. Zabawne, jak szybko oswoiła się z jego obecnością wśród technicznego sprzętu wypełniającego pomieszczenie. Mnóstwa rzeczy, które leżały bez ładu i składu. Grant nigdy nie wszedł do środka, zawsze zatrzymywał się w progu.

Wreszcie dotarło do niej, jak była naiwna, nie widząc przyczyn takiego zachowania. Po prostu nie interesowały go jej praca i badania.

- Niepotrzebnie się tu przeniosłam. - Zaczęła odłączać kolejne kable. - Ale błędy są po to, by je naprawiać.

- Wyjeżdżasz? - zapytał zmienionym głosem.

- Chyba nie liczysz, że zostanę?

- Kate, nie działaj pochopnie.

- Uważasz, że przesadzam?! - Dotknął ją do żywego. - Nie dam sobą dyrygować. -

Wreszcie wyciągnęła kabel z gniazdka, a serce zabiło jej szybciej. - Uwierzyłam ci, gdy

mówiłeś, że już nie chcesz być czarnym charakterem. Było mi ciebie żal. Zgodziłam się, żebyś przerzucił na mnie odpowiedzialność za decyzję, bo sądziłam, że będzie ci łatwiej.

- Z trudem hamowała łyzy.

- Kate...

- Przekonywałeś, że w ten sposób okazujesz zaufanie, lecz to była czysta strategia. Wiedziałaś, że nie wyrządzą ci krzywdy. Wiedziałaś, że nie postawię na siebie twoim kosztem. Wiedziałaś! I nie pomyliłeś się. - Wrzuciła do pudła drogie urządzenie. - Nie wstydzę się tego. Rodzice wpoili mi takie zasady, tylko to mi po nich zostało. Ale to nie znaczy, że nie widzę, kiedy ktoś mną manipuluje. I nie znaczy, że odpowiada mi sytuacja, w której ktoś stawia mnie pod ścianą.

- Co zamierzasz zrobić?

- Wycofuję się. - Nie powinna odsłaniać się przed wrogiem. Rozum nakazywał milczeć. - Wracam do miasta.

- Zostały ci jeszcze trzy tygodnie.

- Nie. - Zacisnęła usta. - Nie będę postępować według twojego harmonogramu. Nie będę... - Urwała gwałtownie, tylko w myślach dodała: Nie będę jak wygłodniały pies wdzięczyc się za ochłapy. Sama wyznaczy sobie ramy, sama będzie o sobie decydować.

- A twoje badania?

- Skończyłam je.

Widziała, jak zmarszczył czoło. O tych zielonych oczach będzie śniła do końca życia. Odwróciła się i pakowała rzeczy. Nie chciała na niego patrzeć. To za bardzo bolało.

- Kate, mój ojciec nienawidził farmy.

- Słucham... słucham? - Zmroziły ją te jego ciche słowa.

- A przynajmniej nienawidził gospodarowania. Na pewno kochał ten wysoki brzeg. Miałaś rację, chciał być rybakiem. Nie myliłaś się.

Odwróciła się. Ten bezbarwny, przygnębiony głos napełnił ją smutkiem. Co z tego, że miała rację?

- Skąd wiesz?

- Od burmistrza. Przyjaźnił się z ojcem.

Kate kiwnęła głową. Korciło ją, żeby do niego podejść, lecz powstrzymała się. Jeśli mu na niej zależy, jeśli jej potrzebuje, to powinien zrobić pierwszy krok, a nie stać w drzwiach. Serce się jej ścisnęło. Czyny przemawiają mocniej niż słowa. Nic się nie zmieniło.

Jednak przyszedł do ciebie, Kate. Jest tutaj.

- Pielęgnowałeś złudzenia. - Nie chciała, żeby to tak zabrzmiało.

Na twarzy Granta widziała cierpienie. Jednak nadal ani drgnął.

- Tak - powiedział prawie szeptem. - To wszystko było złudzeniem. Nic nie było prawdziwe.

- Ja... - przełknęła z trudem - ...ja jestem prawdziwa.

Zacisnął palce na framudze. Wyrwała się, żeby do niego podejść, lecz zmusiła się, by nie zrobić kroku. To on musi do niej przyjść.

- Ale ja nie - rzekł z przymusem. - Przez całe życie robię coś dlatego, że tak sobie wybrałem. Rzuciłem rodzinę, żeby być jak najdalej od farmy, a wychodzi na to, że w ten sposób sam siebie usprawiedliwiałem.

- Dlatego twój ojciec po twoim wyjeździe twardo trzymał się Tulloquay?

Jaki ojciec, taki syn? Tak to jest? - dopytywał się w duchu.

- Nie wiem, Kate, i nigdy się tego nie dowiemy. Po prostu coś go tu trzymało.

Popatrzyła na niego twardo. Trudno, zaryzykuje.

- A ciebie co tu zatrzyma?

- Harowałem, żeby dobić się pozycji w prawniczym świecie, w dużym mieście. Tam jest moje miejsce. Na dobre i na złe.

- Dlaczego? - Głos jej zadrżał. - Dlaczego nie zaczniesz od nowa? Dlaczego nie wierzysz, że twoja przyszłość jest tutaj?

- Czuję się tu jak duch. - Rozejrzał się wokół. Ogarnął ją gniew. Nie rozumie, że tu jest jego dom, nawet jeśli nie taki, jakiego by sobie życzył?

- To ty jesteś duchem. Stoisz w drzwiach i dystansujesz się od rzeczywistości. Nie chcesz wykonać choćby najmniejszego ruchu. Małego kroczone. - Grant, jestem tutaj. Jestem prawdziwa, krzyczała w duchu.

Przesunął wzrokiem po laboratorium, popatrzył na Kate. W sztucznym świetle spostrzegła kropelki potu na jego skórze.

- Nie mogę tu wejść.

- Dlaczego? - rzuciła z jeszcze większą złością.

- To tu znalazłem ojca.

Mój Boże, mój Boże... Dziwne, ale jedyne, co teraz jej przyszło do głowy, to myśl, że zawsze czuła się tutaj jak w domu, nigdy nie była samotna. Grant tylko raz na moment postawił tu nogę.

Leo tu umarł. Syn go tutaj znalazł.

Cześć, Kate.

Teraz to ona spojrzała wokół. Czy to szeptały ściany?

Powoli ruszyła do drzwi, zatrzymała się przed Grantem, ujęła lodowatą dłoń... i lekko pociągnęła. Zacisnął palce, patrzył jej prosto w oczy. Przesunęła kciukiem po jego dłoni, dodając mu otuchy, i cofnęła się do garażu.

- Chodź. Już raz to zrobiłeś. - Grant postąpił krok. - To tylko pomieszczenie - dodała cicho, patrząc, jak stoi tam, gdzie jego ojciec wydał ostatnie tchnienie. Jeszcze mocniej zacisnął palce. Jednak wszedł za nią. - I co czujesz?

Myślał przez chwilę, w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki, wreszcie powiedział:

- Nic, Kate. Nic.

- Nic? - Nie tego się spodziewała.

- Nie, coś jednak czuję. Pustkę. - Popatrzył na nią uważnie. - Jak czyste płótno. Jak oczekiwanie. Jakby wszystko dopiero miało się zacząć.

- Grant... - Ścisnęła jego dłoń.

Dławiło ją w gardle.

- Ocalenie farmy było tym jedynym i tym ostatnim, co mogłem zrobić dla ojca. - Zaśmiał się gorzko. - Niepotrzebnie. Farma nie liczyła się dla niego. To morze było jego życiem. - Dotknął jej twarzy.

Przywarła do jego dłoni policzkiem. Nie przejmowała się łzami drżącymi na rzęsach.

- Grant, tak mi przykro.

- Nie mów tak. U schyłku życia byłeś jego bratnią duszą. Twój projekt po wielu latach smutku natchnął go radością i optymizmem.

Zaśmiała się przez łzy. Popatrzyła na stary fotel Leona.

- Mam nadzieję, że tak było. Zawsze będę w to wierzyć.

Starł kciukiem jej łzę. Kate zamruwała, zapatrzyła się w głębię jego oczu. Delikatnie przesunął, kciukiem po jej ustach. Serce załomotało Kate w piersi. Grant wydawał się tak samo zaskoczony jak ona.

- Nie sprzedam farmy.

- Och... - Gwałtownie wypuściła powietrze.

- Jutro wycofam ją z agencji.

- Zostaniesz na farmie?

- Raczej nie. - Oczy mu pociemniały. - Coś wymyślę. Ale ty możesz dokończyć badania. Zostań, jak długo chcesz. - Widział, jak bardzo jest poruszona, aż drżała. - Nie powinienem zrzucić na ciebie decyzji. Odkąd tu przyjechałem, wszystko się pokomplikowało i...

- Pokazałeś mi miejsce godów. - Widziała, jak bardzo cierpi. - Sama postanowiłam zachować je w tajemnicy. Miałam wybór.

- Jaki? Zrobiłaś to dla mnie.

- Tak... - Co innego mogła powiedzieć?

- To zmienia nasze relacje.

- Nasze relacje? - Serce waliło jej jak młot.

- Wszystko się wyjaśniło, już nic nas nie dzieli. - Przesunął kciukiem po jej górnej wardze, a Kate przycisnęła do niego usta. - Mogę znowu cię pocałować?

- To zależy - powiedziała zmienionym, nabrzmiałym pragnieniem głosem.

- Od czego? - Uśmiechnął się.

Delikatnie uszczypnęła zębami jego palec, potem objęła Granta.

- Czy to początek, czy koniec.

Oczy mu błysnęły, zapaliły się ogniem. Toneła w ich zielonej głębi. Jego usta były miękkie i ciepłe, jak wtedy, gdy pocałował ją po raz pierwszy. Krew zaszumiała jej w uszach, zmysły ożyły.

- Wygląda na początek - wyszeptał, przygarniając ją do siebie.

Od cudownych pocałunków zawirowało jej w głowie, lecz nie czuła lęku. Jeśli się zachwieje, Grant ją podtrzyma, przy nim jest bezpieczna.

Kocha go...

I może... może... on też ją pokocha.

Wiedziała, po prostu wiedziała, że byłby wspaniałym, czułym kochankiem. Dotarło to do niej, gdy z ukrycia obserwowali uchatki. A teraz nastał czas, by ostatecznie się o tym przekonała. Oderwała od niego usta i wyszeptała:

- Jest mały problem. Już się wyprowadziłam z pokoju.

- Nie ma sprawy. - Pochylił ku niej usta. - Pójdziemy do mnie.

Następne godziny były jak słodki sen wypełniony szeptami i czułością, o jakiej zawsze marzyła. Zatracili się w miłosnych uniesieniach, zapomnieli o bożym świecie.

Grant wyłączył laptopa, odrzucił w kąt dzwoniącą komórkę. Poza nimi nic się nie liczyło, niczego nie było.

Prawie nie zmrużyli oka. Gdy pierwsze promienie słońca zajaśniały za oknem, wtuliła się w ciepłe objęcia Granta. Spała ze dwie godziny, a mimo to czuła się jak nowo narodzona. Przyszłość rysowała się w świetlanych barwach. Dokończy badania, ochroni uchatki, pomoże Grantowi z farmą. Wszystko zapowiada się wspaniale. Bo ma go przy sobie.

Poruszyła się, bo pierścionek, który Grant nosił na rzemyku, wpijał się jej w plecy. Poprawił go ostrożnie.

- Czyj...? - Nie chciała pytać. Nie chciała wiedzieć, czy jest rozwodnikiem lub wdowcem. Z jakiegoś powodu nosił tę pamiątkę.

- To mojej mamy. - Przesunął pierścionek w palcach.

- Zawsze go nosisz?

- Zabrałem go, gdy wyjeżdżałem z domu. Myślę, że ojciec wiedział, ale nigdy nic nie powiedział.

- Może jemu nie był potrzebny, żeby ją pamiętać. Albo wiedział, że ty bardziej go potrzebowałaś. - Poczwała, że trochę się spała.

- To wszystko jest dla mnie takie nowe.

Podniosła głowę, popatrzyła na niego. Dotknęła ustami jego policzka.

- Co dokładnie?

- Nie seks - odparł z uśmiechem.

- Tego sama się domyśliłam - rzuciła kpiąco.

- Tak długo zamykałem się na świat. - Przycisnął usta do jej skroni. - Na uczucia...

- Błądził rękami po jej plecach.

- Życie cię doświadczyło.

- Ciebie też. A jednak pozostałaś dobrym człowiekiem.

- Ty tak o sobie nie myślisz?

- Czasami myślę sobie, że nie zasłużyłem na to, co mam. Trafiło mi się fuksem.

- Dlaczego tak uważasz? Ciężko pracowałaś.

- Nie rozumiesz, Kate. Tylko dla niej byłem coś wart. - Bawił się pierścionkiem.

Dla mamy. Przytuliła się mocniej. Tak świetnie do siebie pasują. To musi coś znaczyć...

- Twój ojciec też cię cenił. Zapisał ci farmę.

- Bo komu miał ją zostawić? Nic nie zrobił, żeby mnie ściągnąć do domu.

- Leo miał dumny, silny charakter. Na pewno chciał, żebyś wrócił, i nie było mu łatwo, ale pozwolił ci iść własną drogą. Czy to nie dowód, jak bardzo cię cenił?

- Żyję z cudzych słabości. - Popatrzył na nią. - Myślisz, że byłby z tego dumny?

- Lubisz się dołować, co? - Przewróciła oczami. - A może spojrzysz na to inaczej?

Chronisz tych, dla których pracujesz.

- Tyle że niczego nie stworzyłem, tylko wciąż niszczę.

- To może pora na zmianę?

- Mówisz, jakby to było takie proste.

- Nie musi być trudne. Masz pieniądze, masz dom. Z pewnością znajdą się ambitni ludzie chętni do pracy w twojej firmie. - Objęła go, dodając mu otuchy. - Wszystko jest

możliwe. Masz tyle atutów. Kapitał, doświadczenie, posiadłość, wygląd, reputację... - Masz mnie, dodała w duchu.

- Jeszcze czegoś brakuje. - Przysunął się do niej. - Rodziny.

- Grant... - Serce zatrzepotało jej w piersi, poczuła suchość w ustach.

- Jak widzisz, jeszcze nie mam wszystkiego.

Spod stosu zmiętych ubrań dobiegł dźwięk komórki. Grant pocałował Kate i wstał.

- Pójdę wziąć prysznic. Zaraz wracam. Chyba że chcesz iść ze mną.

Jej spojrzenie wystarczyło za odpowiedź. Pod prysznicem z trudem mieściła się jedna osoba.

- No dobrze. Za pięć minut jestem. - Sięgnął po komórkę. - Zobaczę, kto tak się do mnie dobijał.

W drodze do łazienki wziął świeże ubranie. Po chwili do sypialni dobiegł szum wody. Kate uśmiechnęła się do słońca.

Ile takich wschodów przegapiła, jeżdżąc z miasta na farmę? Ile zachodów? Zatrzyma w pamięci ten dzisiejszy widok. Wprawdzie Grant wspomniał o rodzinie, jednak nie poszły za tym inne słowa. W tym domu od pierwszej chwili czuła się jak u siebie. To był prawdziwy dom. Nawet w swoim mieszkaniu nie było jej tak dobrze.

Czy Grant czuje podobnie? Teraz, gdy tyle się wyjaśniło.

Co będzie z nimi? „Wygląda na początek”. Te słowa można różnie rozumieć. Żadne obietnice nie padły.

Z jego strony. Bo obiecała sobie być z nim szczerą. Zdecydowała się podjąć ryzyko. Kilka razy niewiele brakowało, żeby wyznała mu miłość, lecz coś, czego nie potrafiła określić, powstrzymywało ją.

Chciała mu to powiedzieć. Napisać na piasku, że Kate kocha Granta, i popatrzeć na jego minę. Usłyszeć to samo z jego ust. Nie doczeka się, jeśli nie odważy się powiedzieć tego pierwsza.

Czy zdobędzie się na to?

Nadstawiła uszu. Czyżby Grant śpiewał w łazience? Usłyszała, że woda przestaje szumieć. Odwróciła się i czekała z uśmiechem, wyobrażając sobie, jak wyciera ręcznikiem muskularne ciało, myje zęby, sięga po dezodorant.

Chciałaby, żeby już zawsze tak było.

To coś dużo więcej niż „kocham cię”. Obrączki, przysięga, dzieci. Rodzina. Oczy mi wyobraźni ujrzała długonogą zielonooką dziewczynkę hasającą wokół domu. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Grant byłby wspaniałym ojcem.

Drzwi otworzyły się. Wiedziała, że radosne uczucia widać na jej twarzy, lecz jej to nie martwiło. On już niedługo się dowie.

Odchyliła koldrę, czekając na niego.

Od lat nie śpiewał pod prysznicem, lecz nie mógł się powstrzymać. Radość go rozsadzała. Modlił się i dziękował Bogu za Kate, kobietę, która go otworzyła, pokazała, kim może być, mądrą, dobrą i piękną. Przy której czuł się bezpiecznie i mógł jej opowiedzieć o matce, o tym, że pragnie rodziny. O swojej trudnej historii. Kobietę, której mógł bezgranicznie i bezwarunkowo zaufać.

Razem się zestarzeć, wspólnie wychować dzieci. To było możliwe z Kate. Uda się im, uda się o niebo lepiej, niż to udało się ojcu.

Kate nie mówiła o miłości, lecz widział ją w jej oczach.

Zakręcił wodę, szybko się wytarł.

Chwilę później był już ubrany, uczesany i ogolony. Śpieszył się do Kate.

Uśmiechnął się, myśląc o niej. Sięgnął po telefon, żeby jak najszybciej mieć to za sobą. Odsłuchał dwie wiadomości. Zatrzymał się na ostatniej. Mac Davis pilnował jego spraw związanych z Tulloquay.

Serce zabiło mu szybciej, poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku. Przypomniał sobie Kate i to go uspokoiło. Jest wart jej miłości.

A ona jego. Kocha ją. I ma jej słowo.

Otworzył wiadomość.

Decyzja konserwatora: wskazane miejsce godowe. Wprowadzenie strefy buforowej wzdłuż wybrzeża. Obciążenie wpisane do hipoteki. Kontynuować przygotowania do sprzedaży? Czekam na info.

Poczuł bolesny ucisk w piersi, po chwili ogłuszający ból. Komórka wypadła mu z ręki. Kłamstwa, same kłamstwa!

Jak musiała natrzęsać się z niego w duchu, gdy mówił o rodzinie, matce, swoich lękach. Gdy wzięła go za rękę i poprowadziła do garażu, w którym umarł ojciec. Czy to, co widział w jej oczach, to był triumf, a nie miłość? Wierzył w jej szlachetność, w jej uczciwość. W jej lojalność. Lojalność!

Mac wysłał tę wiadomość wczoraj wieczorem. Pewnie z powiadomieniem konserwatora nie czekała dłużej niż godzinę.

Oparł się na umywalce, popatrzył na swoje odbicie. Oczy lśniły mu gniewnie, ale nie starał się tego maskować. Niech zobaczy.

Niech zapamięta ten widok do końca życia.

Zdradziła go.

TLR

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Obronny gestem skrzyżowała ręce na piersi, przyciskając do siebie kołdrę. Grant stał na progu, twarz pałała mu gniewem. Był przeraźliwie blady. Wbijał w nią wściekłe spojrzenie, w dłoni ścisnął komórkę.

Chciała zapytać, co się stało, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wszystko, o czym przed chwilą marzyła, obróciło się w nicość.

- Już ci mówiłem, że nie masz twarzy pokerzysty. Jeszcze przed chwilą byłaś rozanielona. Chyba nie będziesz udawać, że nie wiesz, o co chodzi?

- Nie mam pojęcia - powiedziała ochryple.

Rzucił jej komórkę. Osłaniając się kołdrą, przebiegła wzrokiem tekst.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Uchatki uratowane. Podniosła wzrok na Granta. Jego oczy mroziły.

- Pięknie to rozegrałaś, Kate. Naprawdę ci uwierzyłem. W zapewnienia o lojalności. W twoją niewinność. Nawet cynicznie wykorzystanaś nieżyjącą rodzinę.

- Grant... - Ból miażdżył jej serce.

- Te brązowe oczy są bardzo przekonujące.

- Myślisz, że ja to zrobiłam? - wyjąkała.

- A kto? Lokalizujesz miejsce, a nazajutrz jest decyzja o wydzieleniu strefy ochronnej. Wniosek sam się nasuwa.

- Grant, to instytucje rządowe. Nic nie dzieje się na pstryknięcie palca. Mija czas, zanim przygotowują dokumenty, a potem jeszcze trochę, nim wyślą ci zawiadomienie. Musieli szykować to wcześniej.

- To też twoja robota, jak się domyślam - rzucił zjadliwie.

Zamknęła oczy. Najpewniej dotychczasowe wyniki badań okazały się wystarczające. To jedyne wytłumaczenie. Czyli to jej wina. Podniosła powieki. Niech ją znienawidzi, lecz niech wie, że go nie zdradziła.

- Grant, nic im nie powiedziałam. - Dopiero teraz zauważyła, jak mocno zaciskał pięści.

- To już bez znaczenia. Jest zapis na hipotece Tulloquay. Farmy nie da się sprzedać.

- Grant, tak mi przykro...

Złapał za kołdrę, którą przyciskała do piersi, i pociągnął ją ku sobie.

- Wcale nie jest ci przykro! Inaczej byś tego nie zrobiła.

- Nie zrobiłam! Dałam ci słowo.

- Widać jest tyle warte, co teraz ta farma.

Opuściła ją odwaga. Nie przekona go. Oskarża ją, bo tak postrzega świat, w ten sposób się broni. Zagotowało się w niej.

- Sam powiedziałeś, że jej nie sprzedasz.

- Powiedziałem, że jeszcze jej nie sprzedam. To duża różnica.

- Czyli nawet nie zamierzałeś tu pobyć? To co to było? - Pokazała na pogniecioną pościel.

Chwycił z podłogi ubranie Kate i rzucił jej.

- To była moja błędna ocena. - Wyszedł z sypialni.

Kate błyskawicznie włożyła białe laboratoryjne spodnie, narzuciła górę i ruszyła za Grantem. Z kuchni dochodziły huk i trzaskanie.

- Grant...

Obrócił się gwałtownie. Zastygła, widząc jego twarz.

- Śmiałaś się za moimi plecami, że tak łatwo daję się robić w konia. Dlatego wczoraj byłaś taka... płomienna? Świętowałaś? Słyszałaś kolejne SMS-y i znałaś ich treść. To cię tak roznamiętniło?

Patrzył na nią z pogardą i gniewem. Miał rozszerzone źrenice. Wyglądał pięknie.

Odepchnęła od siebie te myśli.

- Chcesz wierzyć, że cię okłamałam i wykorzystałam, bo nie wiesz, co zrobić z kimś, kto jest szczery, nie kantuje i nie chce wyrządzić ci krzywdy. Kto naprawdę próbuje znaleźć optymalne wyjście. To wykracza poza twoje doświadczenie, więc nie potrafisz tego ogarnąć, bo od życia spodziewasz się tylko rozczarowań.

- Zdradziłaś mnie. - Wycelował w nią palcem. - Dałem ci schronienie i laboratorium. Dopuściłem cię tam, gdzie nikogo wcześniej... - Ze złością uderzył pięścią w pierś.
- Pomogłem ci.

- Sobie pomogłeś! - rzuciła gniewnie. - Spójrz prawdzie w oczy. Dałeś mi schronienie, żeby mieć oko na postępy w badaniach. W miejscu, gdzie twój ojciec odebrał sobie życie, wolałeś mieć laboratorium, niż wspominać to, co się tam wydarzyło. Otworzyłeś się przede mną tylko na tyle, żeby obudzić moją ciekawość, uspić czujność. Czy to nie przebiegła strategia?

- Zaufałem ci, Kate - powiedział chrapliwie. - Zaufałem.

- Nie, Grant. - Głos jej zadrżał. - Nigdy mi nie ufałeś. Gdyby tak było, nie rozmawialibyśmy teraz w ten sposób.

Cała w gniewie poszła do pokoju po swoje rzeczy. Po sprzęt kogoś przyśle albo machnie na niego ręką. Gdy wróciła, stał nieruchomo.

- Żeby nie pozostawić wątpliwości... - Zmuszając się do spokoju, podeszła do Granta i stanowczym gestem położyła dłonie na jego ramionach, które wczoraj tak dobrze poznała. Popatrzyła na niego twardo. - Nie zawiadomiłam konserwatora. Nie zdradziłam cię. Ja... - Urwała. - Po pierwsze to nie w moim stylu. A po drugie... za bardzo mi na tobie zależy, żebym mogła coś takiego zrobić. Ale jeśli teraz pozwolisz mi odejść, już mnie nie zobaczysz. - Zacisnęła palce na jego ramionach. - Nigdy.

Grant stał z oczami wbitymi w najdalszy kąt. Trwało to wieczność. Potem powoli przeniósł wzrok na Kate.

- Nie patrz tak na mnie. - Głos mu zadrżał.

- Jak?

- Jakby ci zależało. Jakby nie obchodził cię tylko twój interes. - Odsunął jej rękę. - Pomyliłem się, mówiąc wczoraj, że to początek. To może być tylko koniec.

Serce podeszło jej do gardła.

Grant odszedł, z potępieniem rzucając przez ramię:

- Nie chcę cię więcej widzieć w moim domu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Przez trzy tygodnie nic się nie zmieniło, jedynie na bramie wisiała lśniąca nowością kłódka. Kate z trudem powstrzymała płacz. Wygląda na to, że niepotrzebnie tu przyjeżdżała.

Ale co miała zrobić, skoro Grant nie odpisywał na mejle? Chciała ustalić, kiedy ktoś mógłby przyjechać po sprzęt. Sam też go nie odesłał. Wzdragła się przed przyjazdem do Tulloquay, ale nie miała wyjścia. Lecz oto po trzech godzinach męczącej jazdy zastała zamkniętą bramę. Przecież nie zawróci. Zaparkowała samochód, a potem wspięła się na bramę, zeskoczyła na drugą stronę i rozejrzała się nerwowo.

Nie chce niczego ukraść, idzie po swoją własność. Do domu Granta, od dziś już oficjalnie jego. Co znaczy, że kolonia uchatek jest poza jej zasięgiem. Na szczęście nic im nie zagrozi, bo decyzja o strefie ochronnej już weszła w życie.

Mimo wszystko wiele osiągnęła.

Już była gotowa zrezygnować. Dla Granta, w imię miłości. Choć było to sprzeczne z jej podejściem, bo praca zawsze lokowała się na pierwszym miejscu. Była jej ostoją.

Do domu są dwa kilometry. Miała nadzieję, że dostanie się do środka i wyprawa nie pójdzie na marne. Nie uprzedziła o przyjeździe. Nie mogła się zdobyć, żeby zadzwonić. Bała się, jak Grant zareaguje na jej głos.

Ma swoją dumę, nie załamie się na jego widok, powstrzyma łzy. Jeśli nadal będzie na nią wściekły, to dla niej tylko lepiej. Łatwiej się opanuje.

Przyśpieszyła kroku. Mijała zalane słońcem pastwiska. Trawa sporo podrosła, ale nigdzie śladu owiec. Podejrzewała go o najgorsze.

Dziesięć minut później stanęła pod frontowymi drzwiami i dopiero teraz zaniepokoiła się, co zrobi, jeśli go nie będzie. Może już przeniósł się do miasta? Może sprzedał farmę i to nowi właściciele powiesili kłódkę na bramie?

A jeśli naprawdę wdarła się na cudzą własność?

Zdjęta lękiem obeszła dom. Grant zamykał wejściowe drzwi, lecz do tych od ogrodu nie znalazł klucza, więc zawsze były zamknięte tylko na klamkę. Chyba że zmienił zamek.

Drzwi nie stawiały oporu. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy owionął ją znajomy zapach, kojarzący się z Grantem i Leonem.

Obu straciła... Ale nie może się roztkliwiać. Ma konkretną sprawę do załatwienia. Ruszyła do garażu.

Dopiero teraz, przemierzając dom, uzmysłowiła sobie, jak niewiele śladów pozostało po Grancie. Jakby nie chciał poczuć się tutaj u siebie.

Gdy weszła do laboratorium, westchnęła. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło, lecz po chwili spostrzegła kilka starannie zapakowanych pudeł. Jakby ktoś rozmyślił się w połowie pracy.

Pewnie uznał, że nie warto zawracać sobie tym głowy.

Wzięła się do roboty, a gdy zapełniła kilka pudeł, postanowiła odetchnąć. Była w marnej formie, niewyspana, wyczerpana płaczem, dwukilometrowym spacerem, udręczona ponurymi myślami.

I samotnością.

Przez całe życie liczyła tylko na siebie i unikała emocjonalnych związków. Bała się cierpienia, utraty kogoś, kto będzie jej bliski. Dręczyła ją trauma z dzieciństwa. Jednak Grant przedarł się przez obronną barierę, obudził uczucia. Dzięki niemu nawet dawne rany zaczęły się zblizniać. I nagle brutalnie to przerwał.

Podeszła do fotela Leona, usiadła i zaczęła się kręcić. W głowie jej zawirowało.

- Leo... - wyszeptała. - Pomóż mu. - Wokół panowała cisza. - Twój syn cierpi. Ja też. Tak go wychowałeś. Jest przesadnie ostrożny i bardzo podejrzliwy, więc teraz to napraw.

Pomóż mu. Ja go kocham, dodała już w myślach, a łza spłynęła po policzku.

Nagle poczuła, że jest głęboko pod wodą. Polujące uchatki śmigają wokół niej. Dobrze je znała: Stella, Dorset, Amy. I ich młode, wyrosnięte i gibkie. Płynęły ku podwodnej jaskini. Podążyła za nimi.

Wynurzyła się na powierzchnię. W jaskini było zimno i ciemno. Oczy szczypały od słonej wody. Rozejrzała się, jakby kogoś szukała... kogo?

Nagle na brzegu ujrzała starego człowieka. Jego zielone oczy lśniły. Zaczęła pływać, lecz nie posuwała się. Brakowało jej sił, a on wciąż się uśmiechał. Obok na patelni smażyła się ryba, było sucho, ciepło. Spokojnie.

Leo poruszał ustami, lecz była za daleko, woda wypełniała jej uszy. Bardzo wyraźnie widziała jego oczy.

- Leo, nie słyszę cię. - Wciąż była pod wodą. Brakowało jej powietrza.

Leo potrząsnął głową, uśmiechnął się i pokazał coś ręką. Uchatki baraszkowały w wodzie, zasłaniały światło wpadające z góry. Popatrzyła na jasną smugę, potem na Leona.

Uniósł lewą rękę. Drugą przytknął do piersi.

Podniosła rękę na pożegnanie.

Znów zapadła się głęboko pod wodę.

Uchatki podpłynęły bliżej i nagle poczuła, że wypychają ją w górę, na powierzchnię, ku potężniejszemu światłu. Pęd zapierał dech, woda uderzała w oczy. Niebieskie niebo, zalane złocistym blaskiem pastwiska Tulloquay.

Poczuła przenikające ją cudowne ciepło. Już tak niewiele ją dzieli od powietrza. Otworzyła oczy.

- Cześć.

Miły szept, ciepłe spojrzenie zielonych oczu. Odetchnęła głęboko, otarła słone łzy płynące po policzkach.

- Kate, nie płacz.

Serce jej zamarło. Grant.

Chciała rzucić się w jego ramiona, nie bacząc na nic, lecz zdrowy rozsądek pohamował to dzikie pragnienie. Obróciła się ku niemu.

- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

- Co ty tu robisz? - Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Mieszkam tu.

Miała mętlik w głowie. Zasnęła? Pamiętała tylko, że wirowała w fotelu Leona. Zmarszczyła brwi. Leo... Próbowwała dogonić uciekający obraz, lecz daremnie.

- Co tu robisz? - łagodnie zapytał Grant.

- Która godzina? - Próbowała się pozbiierać. Musi się pakować.
- Trochę po szóstej.
- Po szóstej? - Jeszcze nie doszła do siebie. - Strasznie długo spałam.
- Zobaczyłem przed bramą twój samochód. Wołałem cię. Cieszę się, że przyjechałaś.

- Dlaczego? - Popatrzyła na niego nieufnie.

- Bo mam wiele rzeczy do wyjaśnienia. I przykro mi, że tak się rozstaliśmy.

Ale nie dlatego, że w ogóle się rozstaliśmy? - dopytywała się w duchu.

- Przyjechałam po rzeczy. Muszę je spakować.

- Zacząłem to robić.

- Tak. Dzięki.

- Nie mogłem dokończyć. Pakowanie twojego życia... To mnie dobijało.

Zaparło jej dech, zaczęła kielkować w niej nadzieja.

- Nie powiadomiłam konserwatora. - Musiała to jeszcze raz powiedzieć.

- Teraz to już nieważne.

- Dla mnie tak.

- Dlaczego tak ci zależy, żebym ci wierzył?

Bo cię kocham, pomyślała.

- Bo moje słowo jest dla mnie ważne. Mówiłam ci, że liczę się z ludźmi, nigdy nie odbieram im możliwości wyboru. Ta zasada mnie ukształtowała. I jestem jej wierna.

Uśmiechnął się. Blando, ale jednak. Podniósł na nią zielone oczy. Jak te widziane spod wody.

- Miałaś rację, Kate. Nie tylko w odniesieniu do mojego ojca. Podejrzliwość stała się moją drugą naturą, skrzywiła moje spojrzenie.

- Naprawdę wierzyłeś, że to ja.

- Tak. - Dotknął dłonią jej policzka.

- Mówiłam prawdę. Byłam z tobą uczciwa.

- To Alan Sefton powiadomił konserwatora.

- Burmistrz? Skąd wiedział?

- Od taty. Byłem naiwny, sądząc, że nie zna aż tak dokładnie swego terenu. Ojciec wtajemniczył Alana, tak na wszelki wypadek, gdybyś sama nie znalazła tego miejsca. Nie chciał odbierać ci radości, którą daje odkrycie. Jednak Alan przyśpieszył decyzję.

- Od dawna o tym wiedział...

- Polityk ma swoje rachuby. Chciał jak najlepiej dla Castleridge.

- Więc już wiesz, że to nie ja.

- Wiem. - Jego uśmiech zgasł. - Kate, zawsze to wiedziałem, ale tylko wtedy, gdy rządził mną rozum, a nie emocje.

- Dziękuję. - Poczowała szaleńczą, obezwładniającą ulgę. - To dla mnie znaczy tak wiele. - Wszystko, dodała w duchu, patrząc na niego badawczo. - Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- W odruchu samoobrony. Kiedyś zamknąłem serce na mamę. Kiedyś wyjechałem z farmy, by nie usłyszeć od ojca, że go zawiodłem. A teraz rozstałem się z tobą, żeby nie cierpieć.

- To twoje usprawiedliwienie? - spytała chłodno.

- Nie, po prostu taka jest prawda. Nie zadzwoniłem do ciebie, bo nie wiedziałem, jak cię przeprosić za podejrzenia. Za to, co powiedziałem.

- Teraz już wiesz? Czy może wymusiłam to na tobie swoim przyjazdem?

- Odpowiedziałaś na moje modły. - Odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów.

- Przecież się nie modlisz.

- Kiedyś nie, ale od jakiegoś czasu zacząłem mówić. - Zmarszczył czoło. - Mówić do kogoś.

- I ten ktoś ci odpowiedział? - Patrzyła na niego czujnie.

- Nie. - Znów się uśmiechnął. - Czasami owce.

Wybuchnęła śmiechem, Grant jej zawtórował, ale szybko spoważniał.

- To co, mieszkasz tutaj? - spytała Kate.

- Tak. Rozważam możliwości.

- Jakie?

- Długo zastanawiałem się nad twoimi słowami. Powiedziałaś, że powtarzam stare błędy. Zainspirowałaś mnie. Na wiele rzeczy otworzyły mi się oczy. Wcześniej to było

niemożliwe. Trzymałem się firmy, bo mnóstwo w nią zainwestowałem, to było całe moje życie.

- Czasami trzeba zrezygnować z nieudanej inwestycji.

- No właśnie, Kate.

- Chcesz zostać farmerem?

- Nie, a w każdym razie nie w obiegowym sensie. Twój pomysł dał mi wiele do myślenia, burmistrzowi też. Strasznie mnie na to namawia.

- Farma wiatrowa - wyszeptała.

- Tak. - Jego oczy znów się rozjaśniły. - Rozmawiałem z zaprzyjaźnionymi inżynierami. Uważają, że da się tu postawić dwieście turbin. To zaspokoi zapotrzebowanie Castleridge na energię, będą też spore nadwyżki.

- Masz na to wystarczające środki?

- Nie, ale możemy zacząć od tuzina turbin, a potem stopniowo stawiać nowe. Nie musimy się śpieszyć, po prostu reinwestować zyski.

- To wielkie ryzyko.

- Ryzyko do spółki...

- Z kim?

- Ja zapewnię kapitał, lecz potrzebuję współnika, który jest właścicielem ziemi.

- Jak duży musi być teren?

- Tylko w granicach Tulloquay.

- Zaraz, czegoś tu nie rozumiem. To kogo chcesz dokooptować?

Grant podsunął jej jakieś pismo i powiedział:

- Ciebie, Kate.

Ze zmarszczonymi brwiami przebiegła wzrokiem dokument.

- Akt własności Tulloquay. - Popatrzyła na Granta. - Dostałeś go dzisiaj.

- I od razu przepisałem na ciebie.

- Co...? - Serce załomotało jej w piersi. - Skąd wiedziałeś, że przyjadę?

- Nie wiedziałem, ale farma miała być twoja. Niezależnie czy tutaj będę, czy nie.

- Od kiedy? - Nie wierzyła własnym uszom.

- Odkąd przebudziłem się po twoim wyjeździe i zdałem sobie sprawę, co zrobiłem.

- Dlaczego...?

- Powiedziałaś, że ta farma zawsze była w naszej rodzinie, a jeśli obejmie ją ktoś inny, przestanie być sobą. Też tak uważam. Pozostanie pustka, sto siedemdziesiąt kilometrów kwadratowych pastwiska. Poza tym jesteś jedyną osobą, której ufam, że nie sprzeda tej ziemi fabrykantowi pestycydów.

Ufa mi... Ta cudowna myśl roztkliwiła ją.

Grant jakby czytał w jej myślach, bo dodał:

- Leo byłby zadowolony. Bardzo cię polubił, wielu mi to mówiło. Tulloquay powróci do oceanu, a to byłoby po jego myśli.

- Dajesz mi Tulloquay?

- Pod pewnymi warunkami. Dwa są obowiązkowe, trzeci opcjonalny. Są tu zawarte. - Przesunęła wzrokiem po dokumencie, widział jednak, że nic do Kate nie dociera, dlatego pomógł jej: - Musisz tu zamieszkać, stworzyć sobie dom, który kiedyś straciłaś. To konieczny warunek.

- Dobrze. - Zamieszkać w Tulloquay. Blisko uchatk. Na zawsze. Oczy jej pojaśniały, na twarzy pojawił się drżący uśmiech. - Na to mogę pójść.

- Nie znasz jeszcze drugiego warunku.

- Chodzi o farmę wiatrową?

- Nie. Tylko od ciebie będzie zależało, co tu powstanie. Możesz zbudować muzeum albo szkołę. Cokolwiek zrobisz, na pewno będzie po myśli Leona.

- Co jeszcze?

- Niezależnie od tego, co wybierzesz ty, twoje dzieci czy wnuki, farma musi pozostać w twojej rodzinie. Tulloquay zawsze będzie związana z nazwiskiem McMurtrie. Bez względu na to, co tu będzie.

Dzieci, rodzina, Tulloquay...

Poczuła łzy w oczach.

- Zaraz... McMurtrie?!

- To opcjonalny warunek. Decyzja jest w twoich rękach.

- Jak mam to rozumieć? - Zabrakło jej powietrza, z trudem łapała oddech.

- Długo zastanawiałem się nad czymś wyjątkowym. - Wyjął z kieszeni ozdobne pudełeczko i położył je na oparciu fotela. - Chciałem to wysłać z twoimi rzeczami. Liczyłem, że może cię do mnie sprowadzi.

- Grant... - Odetchnęła głęboko.

- Los mi ciebie oddał. - Przykucnął przed nią. - Kate, nie mogę obiecać, że nie popełnię błędów, że już nigdy nie zachowam się jak bałwan i nigdy przez nieuwagę czy z głupoty nie zrobię ci przykrości. Nie jestem dobry w tych sprawach. - Patrzył na nią z przejęciem. - Ale obiecuję, że nie cofnę się przed żadnym wyzwaniem. Przed czymś, czego nie znam i czego nie rozumiem. Będę cię wielbił, szanował i ufał ci, jak długo mi pozwolisz. - Przykląkł na jedno kolano. - Będę się liczył z twoim zdaniem, choć niekoniecznie muszę się z nim zgadzać. I nieważne, co się wydarzy, ale zawsze będę po twojej stronie. Będę gotował ci jajka, tak jak lubisz, i nosić najcięższy sprzęt. Będę cię kochał w dzień i w noc i kiedy tylko znajdziesz dla mnie choć ze trzy minuty. - Gdy zaśmiała się przez łzy, dodał na koniec: - Zrobię to wszystko, bo cię kocham, doktor Kate Dickson. Desperacko i szaleńczo. Pokocham cię jeszcze mocniej, jeśli coś powiesz.

Uciszyła go pocałunkiem. Tak bardzo marzyła o tych cudownych ustach!

- Kochasz mnie? - spytała.

- Całym sercem.

- Chcesz się ze mną ożenić?

- Jeśli się zgodzisz. Zrozumiem, jeśli odmówisz.

- Ale Tulloquay i tak będzie moje?

- Tak. - W jego oczach błysnął niepokój.

Pochyliła głowę, przypomniała sobie zielonooką dziewczynkę, o której marzyła tamtego ranka.

- Chcę zostać panią McMurtrie - powiedziała miękko. - Chcę mieć z tobą dzieci. Wychowywać je tutaj bez względu na to, jaką przyszłość sobie wybiorą. Czy zostaną farmerami, rybakami, naukowcami, politykami...

- A prawnikami?

- Okej, prawnikami. - Uśmiechnęła się. - Ważne, żeby były szczęśliwe i miały gdzie wrócić. Do swojego domu, gdzie mama i tata zawsze będą na nie czekać.

- Zawsze?

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy. - Zadumała się na moment. - Ale to nie wszystko, Grant. Zwierzętom też należy się ochrona.

- Negocjujesz warunki?

- Jak bardzo ci zależy?

- Godzę się na wszystko, co tylko zechcesz.

- W takim razie się zgadzam. - Rzuciła mu się w ramiona. - Choć prawdę mówiąc, to nie były oświadczenia.

- Zaraz to naprawię. - Otworzył pudełeczko i wyjął złoty pierścionek.

- To twojej mamy - szepnęła.

- Tak.

- Zamierzałeś mi go wysłać?

- Nikt inny nie mógłby go nosić.

- A gdybym odmówiła?

- Odesłałabyś go, ale dla mnie już zawsze byłby twój. Nosiłbym go na sercu.

Chciała się uśmiechnąć, lecz bała się, że zaraz zaleje się łzami.

- Miałeś go przy sobie przez całe życie.

- Teraz będę miał ciebie. A ty pierścionek. - Spoważniał. - Katherine Dickson, czy wyjdiesz za mnie i pozwolisz mi zrehabilitować się za to, jaki byłem?

Wstrzymała oddech. Przed jej oczami przesuwaly się kolejne obrazy. Pierwszy uśmiech Granta. Ich pierwszy pocałunek. Wszystkie drgnienia jej serca. Czy na tym polega miłość? Gdy człowiek ma świadomość, że w każdej chwili może wszystko stracić, lecz wie, że warto było podjąć ryzyko? Te chwile absolutnej pewności i całkowitego porozumienia, cud, który się nie skończy?

Czy tak było z jej rodzicami? Co z tego, że byli ze sobą tylko kilkanaście pięknych lat, jeśli było warto? Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

- Tak. - Poczowała ucisk w gardle.

Ten pocałunek wynagradzał przeszłość i obiecywał przyszłość. Smutek i żal rozpląwały się w zapomnieniu, ulatywały w niebyt. Zadrzała, czując na sobie ciepłe dłonie Granta.

- Mój pokój już jest pusty - wyszeptała.

- Nie szkodzi. Pójdziemy do mnie.

Gdy wychodzili z garażu, kątem oka dostrzegła, jak jej przyszły mąż, tata zielonookiej dziewczynki, unosi lewą rękę, a drugą przykładła do serca, jakby pozdrawiał ojca. Dziękował mu.

Zamruła, bo już wcześniej widziała ten gest, lecz w tej samej chwili Grant uśmiechnął się do niej promiennie i wyciągnął rękę. Serce jej zabiło, nogi zrobiły się jak z waty.

I wszystkie myśli odfrunęły jak liście spadające z drzew.



TLR